

19-101

# stańczyk

PISMO KONSERWATYSTÓW I LIBERAŁÓW

2/1986



Kraków - Poznań - Warszawa - Wrocław



## W numerze:

S T A N C Z Y K	
Roger SCRUTON -	
Jak być nieliberalnym i antysocjalistycznym konserwatystą? .	1
(paz.) - Opozycja gospodarcza w ZSRR.....	7
Polib - Pomieszczenie z potrząsaniem maczugą.....	10
Jak nie kłamać? (poradnik propagandzisty).....	12
Statysta - Sprawnie i spokojnie.....	15
K O L I B E R	
A.M. - Monarchia nie żyje - Niech żyje Monarcha!.....	17
Rex - Polityka polska i unilateralizm.....	20
Maurycy Rojski - Jeszcze jeden zasiłek dzisiaj!.....	22
Emil Dominik - Światła i Cień.....	24
Józef Wygdyński - Społeczeństwo w krótkich spodenkach.....	26
Krzysztof BĄKOWSKI - O bełkocie, lewicy ("Trzy po trzy").....	28
L i s t y     d o     r e d a k c j i	32
K O N A R	
Roman RYBARSKI - O narodzie, gospodarce i etatyzmie.....	33
L I B E R O	
O d     r e d a k c j i	48
A.B. - PRZEBŁOM? .....	50
mk. - Polacy, Czasi i Słowacy, zjednoczcie się!.....	51
B.P. - Tak, ale... ..	52
Janusz KORWIE-MIĘKE - Wojna!.....	53
Michał Kowalik - Reforma gospodarcza ma się dobrze.....	54
Piotr WIERŚBICKI - O Reformie inaczej.....	57
JKM - Konserwatyzm z nożem w zębach.....	59
Wacław B. TRZĘBA - Rzecz o socjalizmie (Z biblioteki klas.).....	63
Konstanty Ilde'ona Gałczyński - Nieporozumienia.....	64



# JAK BYĆ NIELIBERALNYM I ANTYSOCJALISTYCZNYM KONSERWATYSTA



ROGER SCRUTON

1. W niewielu tylko miejscach Europy ktoś, kto określa się jako konserwatysta może się spodziewać, że weźmie się go poważnie. Dlatego też najważniejszym zadaniem konserwatyzmu jest stworzenie języka, w którym słowo „konserwatywny” przestanie być obelgą. Chodzi tu o coś więcej: o oczyszczenie języka z podstępnych, gnieźdzących się w nim sloganów. Nie będzie to łatwe, jako że w grę wchodzi polityka, rozumiana jako całość. Komuniści wiedzieli od samego początku, że kontrola języka oznacza kontrolę myśli, i to całego potencjału intelektualnego, nie tylko konkretnych, pojedynczych myśli. To właśnie uwiedzione powodzeniem wysiłki komunistów — wspomóżne raczej jasna przez ostatnią wojnę, do której wyzwolenia Niemcy nie oni przyczynili — sprawiły, że nasi rodzice posługiwali się elementarnymi dychotomiami w rodzaju „lewica — prawica”, „komunizm — faszyzm”, „socjalizm — kapitalizm”, i tak dalej. Takie właśnie kategorie dyskusji przejęliśmy od nich w spadku, tak dalece, że jeśli ktoś nie jest „na lewicy”, musi być „na prawicy”, jeżeli nie jest komunista, musi zbliżać się do faszyzmu, jeśli nie definiuje się jako socjalista, jest zapewne obrońcą kapitalizmu, rozumianego jako system polityczny i ekonomiczny.

Tymczasem prawdziwie fundamentalna dychotomia, z jaką mamy obecnie do czynienia, to konflikt pomiędzy nami, spadkobiercami tego, co ocalało z zachodniej cywilizacji i zachodniej myśli politycznej, i handlarzami dychotomiami. W gruncie rzeczy nie ma wcale takich przeciwieństw jak opozycja prawica — lewica czy też komunizm — faszyzm. Istnieje tylko wieczne przymierze — przymierze nieprawych, w każdej chwili gotowych pogwałcić warunki tego sojuszu — pomiędzy tymi, co rozumują w kategoriach dychotomicznych podziałów i etykiet. To oni wynaleźli nowy styl polityczny, styl, który wyparł politykę taką, jak ją zawsze pojmowano. To oni mówią wciąż o „siłach” i „ruchach”. Świat, widziany przez te infantylne umysły, znajduje się w stanie ciągłego niepokoju, wrenia i konfliktu, przyciągany raz w prawo, raz w lewo, zgodnie z „przewidywaniami” tego czy innego „teoretyka” społecznych przesnażeń człowieka. Naczelna cecha umysłu, który żyje dychotomiami, jest potrzeba systemu, dążenie do wypracowania teoretycznego ujęcia społecznej i politycznej sytuacji ludzkiej, tak aby dało się utworzyć doktrynę, wyjaśniającą wszystkie fakty materialne.

Powojenne pokolenie intelektualistów odziedziczyło dwa systemy myśli politycznej, zaspokajające jego fałdę doktryny: liberalizm i socjalizm. O niezwykłej uporczywości „dychotomicznego” sposobu myślenia świadczy fakt, iż nawet w Europie Wschodniej doskwierają nam „światowy konflikt” pojmowany jest nie raz jako spór między

tych dwoma systemami. Ponieważ zaś są one systemami, zakłada się często, że są organicznie całością, że więc nie można przyjąć tylko jakiejś ich części, nie utożsamiając się natychmiast z całością. Powiedzmy jednak już na samym początku, że — jeśli przyjmujemy nasz punkt widzenia — oba te systemy niczym fundamentalnym się między sobą nie różnią. Każdy z nich występuje z opinii naszej sytuacji i proponuje idealne rozwiązanie, przy czym posługuje się laickimi, abstrakcyjnymi, powszechnymi i egalitarnymi kategoriami.

Oba systemy postrzegają świat adekwatnie do swego, oba posługują się pojęciami, które nie są wprowadzone z żadnego trwałego, wspólnego ludzkiego doświadczenia, lecz z tymczasowych, schematycznych paradygmatów, trapiących intelektualne młogi. Obydwa są abstrakcyjne, nawet wtedy, gdy pretendują do posiadania wizji ludzkiej historii. Ich historia — podobnie jak ich filozofia — nie ma wiele wspólnego z konkretną ludzką działalnością, a w przypadku marksizmu nawet odmawia ludzkiej aktywności siły sprawczej, podstawiając na to miejsce koncert bezosobowych sił. Natomiast te idee, którymi ludzie żyją i dzięki którym odnajdują swą regionalną tożsamość — a więc idee, w których wyraża się lojalność, przywiązanie do kraju i narodu, wiara i świadomość obowiązku — są, dla socjalistów, po prostu ideologia, a dla liberałów sprawą „prywatnego” wyboru i powinny być respektowane przez państwo tylko dlatego, że z natura państwa nie mają nic wspólnego.

Oba te systemy są również powszechne. Międzynarodowy socjalizm to głośno wypowiedziane marzenie większości socjalistów, a międzynarodowy liberalizm to nie wyrażona tendencja liberałów. Żaden z tych systemów nie może pogodzić się z myślą, że ludzie żyją powodując się nie uniwersalnymi aspiracjami, lecz znajdując oparcie w regionalnych przywiązaniach, że porusza ich nie „solidarność”, wiązka czułych ziemskich glob, lecz obowiązki wyrażone w terminach nie łączących, lecz dzielących ludzi od większości ich współczesnych, to znaczy w kategoriach narodowej historii, religii, języka i obyczajów, będących wspólnie źródłem legitymizacji. Wreszcie — i nigdy nie powinno się zapominać o znaczeniu tego punktu — i socjalizm, i liberalizm są, jeśli dobrze im się przyróżać, egalitarne. I liberalizm, i socjalizm zakładają, że ludzie są sobie równi, pod każdym względem, a zwłaszcza tam, gdzie to jest korzystne dla jednej czy drugiej doktryny. Dla socjalistów ludzie są równi w swych potrzebach i wskutek tego powinni być też równi we wszystkim tym, co wiąże się z zaspokajaniem potrzeb. Dla liberałów równość dotyczy praw jednostek, co prowadzi do wniosku, że wszyscy winni być równi.

ni wśrodku tam, gdzie w grę wchodzi ich pozycja polityczna i społeczna.

Muszę zaraz dodać, że liberalny punkt widzenia budzi we mnie więcej sympatii niż doktryna socjalistyczna. Liberalizm bowiem wychodzi od filozofii, która nie tylko uznaje realność ludzkiej działalności, lecz zarazem dąży do tego, by pogodzić elementarne wolności ludzkie z zagrażającą im stałą rzeczywistością naszej politycznej egzystencji. A jednak, niezależnie od jego filozoficznej wartości, liberalizm pozostaje dla mnie zaledwie s'ala poprawka, wniosek do danej rzeczywistości, nigdy sama ta rzeczywistość. Jest cieniem, powołanym do życia przez światło rozumu i sam fakt, że ten cień może się utrzymać, zależy od istnienia potężnej bryły (zakłócającej światło rozumu) — prawdziwej egzystencji politycznej człowieka.

I właśnie ta realna polityczna egzystencja człowieka przekreśla wszystkie aliamenty liberalizmu i socjalizmu. Nie jest ona świecka, lecz duchowa, nie abstrakcyjna, lecz konkretna, nie powszechna tylko partykularna i nie egalitarna, lecz niezwykłe różnorodna, zhierarchizowana, pełna nierówności, przywilejów i władzy. I dobrze, że taka jest.

Jest duchowa, gdyż wierze, że świat, dany nam szczeremu rozumieniu — *Lebenswelt* — ukazuje się człowiekowi faktycznie z nie dającymi się wyznaczyć znakami zobowiązań, których sens przekracza jego możliwości zrozumienia. Człowiek rodzi się w świecie, który wrywa go do złożenia ofiary i zawiera też w sobie niejasną obietnicę nagrody za to. Ten świat jest konkretny i nie można go opisać w abstrakcyjnym, ahistorycznym języku socjalistycznym czy liberalnego teoretyka, chyba że usunie się pełną znaczeń skórę świata, skórę, która czyni rzeczywistość widzialną. Świat socjalisty i świat liberala to dwa równie wyprępowane szkielety, pozbawione owej żywej skóry. Ten rzeczywisty, żyjący, społeczny świat jest czynny, szczegółowy, partykularny, jest vitalny, i, jeśli ma rozkwitać, musi oddziaływać życiem różne swe części składowe w sposób różnicowany, nierówny. Abstrakcyjna równość socjalisty czy liberala nie znajduje dla siebie miejsca w żywym świecie, można ją wytektować tylko przy zastosowaniu kontroli tak surowej i wszechobejmującej, że niszczy całą rzeczywistość.

Umysł intelektualisty, który chce nie tylko usprawiedliwić swą wojnę z rzeczywistością, ale i ją wygrać, stworzył specjalny unicestwiający język do jej opisu. Wszystkie polityczne fenomeny opisywane są ahistorycznie, tak jakby mogły się pojawiać zawsze i wszędzie. I tak szczegółowy, polski fenomen „Solidarności” wepchnięty został w abstrakcyjne łoże, wywodzące się z teorii „liberalnej demokracji”. Niektórzy uważają go nawet za odmianę socjalizmu. Celem w tym francuscy intelektualisci, którzy wszystko, co im się podoba, uważają za socjalistyczne. Jest to groźny przykład. Jeżeli chcemy powrócić do rzeczywistości, musimy poszukać języka wolnego od pojęzycznych kategorii i fascynujących abstrakcji, wolnego od kryptoegalitarnych pojęć — języka oddającego sprawiedliwość ludzkiemu światu.

2. Pewna idea ogólna zachowamy jednak, gdyż pod nią ukrywają się niezliczone rzeczy szczegółowe. Mam na myśli ideę legitymizacji. Liberalizm — przyznajmy im to — próbował wypracować

alternatywną ideę legitymizacji władzy, ideę, która przeciwstawiała się tradycyjnym zasadom, mającym ustąpić przed zwycięskim pochodem ich systemu. Natomiast wstępne i ostateczne zarzeczanie potępienie komunizmu opiera się na tym, iż z pustym śmiechem odrzuca on ideę legitymizacji władzy. Nie zależy mi na tym, by dyskutować z liberałami. Niektóre ich poglądy i tak muszą być uwzględnione przez każdą filozoficzną teorię prawowitego rządu. Chce tylko zasugerować nieliberalną alternatywę, nie zwiazaną z żadną doktryną.

Pośród wielu dyktomii, które podminowały nowoczesną inteligencję, do najbardziej niebezpiecznych należy przeciwstawienie legitymizacji i legalności, tradycyjnych i racjonalnie-prawnych odmian władzy, dokonane, jeśli się nie myli, przez Maxa Webera. Prawomocność może być przeciwstawiona legitymizacji — której jest jednym ze szczegółowych przykładów — wtedy tylko, gdy prawo jest fałszywie rozumiane jako system abstrakcji. Lecz abstrakcyjne prawo nie może mieć trwałej mocy, dlatego właśnie, że jest abstrakcyjne.

Legitymizacja to, po prostu, prawo do sprawowania władzy politycznej. To prawo wiąże się także z praktykowaniem prawa. Skąd bierze się to prawo rządu społeczeństwem? Niektórzy odpowiadają — społeczeństwo samo dokonuje wyboru. Poglad taki nie bierze jednak pod uwagę faktu, że dysponujemy bardzo niedoskonałymi metodami mierzenia tych wyborów i że dotyczy one tylko rzeczy drugorzędnych, przypadkowych. Dalej, czyż nie jest tak, że lud akceptuje narzucenemu „wybór” kierując się apriorycznym przekonaniem, że społeczeństwo i jego elita polityczna związane są wspólnym porządkiem legitymizacyjnym?

Zadaniem konserwatysty jest znalezienie konkretnych podstaw politycznej egzystencji i praca na rzecz ponownego ustanowienia prawowitego rządu w świecie zniszczonym przez intelektualne abstrakcje. Naszym ostatecznym modelem legitymizacji będzie więc porządek dany historycznie społeczeństwu zjednoczonemu w poczuciu wspólnego losu, wspólnej kultury oraz wspólnego źródła wartości rządzących życiem zbiorowym i jednostkowym.

3. Liberalna inteligencja Zachodu, podobnie jak komunistyczna inteligencja Wschodu podobnie są w tym, że uporczywie odrzucały pojęcie ludzkiej egzystencji jako czegoś danego. Życie, a w szczególności życie w sferze politycznej, rozumiane tu jest jako coś w rodzaju intelektualnego eksperymentu. Widząc, że człowiek nie jest szczęśliwy, liberali zadaje sobie pytanie, co jest temu winne? Marzy o świecie, w którym spełni się abstrakcyjny ideał sprawiedliwości i postuluje wszędzie uniwersalnego, pojedynczego rozwiązania, które by usunęło wszelkie konflikty i zaprowadziło harmonię wszędzie, od bieguna północnego do równika. Stąd też liberalizm nie jest w stanie pomóc tym, których dotknęła plaga totalitaryzmu, systemu pozbawionego legitymizacji. Liberali wychodzą z tego samego założenia co zwolennik totalitaryzmu, że mianowicie polityka jest środkiem prowadzącym do pewnego celu, a celem tym jest równość. Nie równość materialna co prawda, tylko równość moralna, równość „praw”. Liberalny ideał prowadzi z konieczności do demokracji.

jako że właśnie demokracja jest ucieleśnieniem politycznej równości. Jedynym sposobem przeciwstawienia się totalitaryzmowi jest dla liberala powołna, systematyczna demokratyzacja porządku społecznego.

Ktoś może przeczyć atrakcyjności tej idei? A jednak nie uwzględnia ona pewnego niepodważalnego faktu: nie mogę traktować mojego życia tak, jakby chciał widzieć polityczną egzystencję liberala. Moje życie nie może być dla mnie eksperymentem. Podobnie nie mogę uważać, że moje zobowiązania są wyłącznie moim własnym tworem, że powołały je do życia moje wolne wybory i pełne odpowiedzialności czyny. Rodzi się do sytuacji, która nie ja sam stworzyłem i od urodzenia ciąży na mnie zobowiązania, które nie ja sobie narzucam. Dług, jaki zaciągam wobec świata wyraża się nie w sprawiedliwości, lecz w pobożności, i dopiero gdy to odkryję, mogę być naprawdę sobą. Gdyż dopiero gdy w pełni uwzględnię daną mi sytuację, mogę mieć się do kształtowania tych wartości i postawianiem tych społecznych percepcji, które wreszcie obdarzą mnie siłą potrzebną do eksperymentów z wolnością.

Każde wierne ujęcie naszych uczuć związanych z zagadnieniem legitymizacji musi wyjść od uznania, że wczesniejsza od sprawiedliwości jest pobożność, i to zarówno w naszym życiu jak i w myśli. I że dopóki nie zwiążemy się z ziemią i ludem, o których będziemy myśleli jako o „naszych własnych”, zadania sprawiedliwości i przesydy równości będą dla nas tylko pustymi dźwiękami. Lecz przywiązanie do miejsca i ludzi nie jest przedmiotem wyboru, nie bierze się ono z liberalnej refleksji nad prawami człowieka, ani też z eksperymentalnej, mentalności, tak istotnej dla programu socjalistów, tylko jest nam dane, zawiera się w samym istnieniu naszej społecznej egzystencji. Rodzimy się do zobowiązań rodzinnych, do przeżywania samych siebie jako uczestników wiekowej wspólnoty. Nie uważa pierwszeństwa tego przeżycia za niepróbowanie naczelnej przesłanki myśli totalitarnej, to jest przekonanie, że egzystencja polityczna zasadza się na długofalowym eksperymentie. Wciąż jeszcze niektórzy lewicowi intelektualści zachodni powtarzają popularne powiedzenie, że system sowiecki to „socjalizm, który poszedł w złym kierunku”. Myśl ta wyraża największe polityczne zagrożenie naszych czasów, wiara, że polityka dopuszcza wybór syntezy mów rozumianych jako środki prowadzące do celu, i że jakimś systemem może „pojść w złym kierunku”, podczas gdy inny będzie szedł „właściwą drogą”. Naprawdę to socjalizm jest zły, i to dlatego, że uważa, iż może znaleźć „właściwą drogę” — dlatego, że polityka jest dlań środkiem prowadzącym do celu. Polityka tymczasem jest sposobem zbiorowego istnienia, a jej podłożem są dane nam zobowiązania, stanowiące tworzywo naszej wspólnej tożsamości. „Polityka” to rodzaj zbiorowej wciży i nie jest ona środkiem do celu, lecz celem samym w sobie. Rodzi się ona z legitymizmu, a legitymizm zawdzięcza swoją wierność wobec naszego dziedzictwa.

Dlatego właśnie jeśli chcemy ponownie odkryć źródła politycznego porządku, musimy spróbować zdefiniować i zaakceptować dane nam zobowiązania, które kształtują naszą polityczną tożsamość i które sprawują, że Polak nie może być w sposób prawowity rządzony z Moskwy, a miesz-

4. Warto teraz zatrzymać się na moment, nim przejdziemy do następnej, i konkurencyjnej, idei ogólnej. Idea ta oddala lewicowo-liberalnej inteligencji naszych czasów niezłą przysługę w dziele wyznaczania przeszłości i wyznajdowania podstaw politycznych zobowiązań, związanych tylko z teraźniejszością i przyszłością. Chodzi o ideę „ludu”, jako źródła i dawcy prawowitego porządku. Do idei tej dołącza się zazwyczaj urojenie, że intelektualista obdarzony jest szczególnym darem słyszenia oraz wypowiedziania „głosu ludu”. To samoostrzucie, utrzymujące się w niezmiennym kształcie od czasów Rewolucji Francuskiej, zrodzone zostało z troski intelektualistów, by być słyszonym ze zbiorowym porządkiem, od którego tak tragicznie separuje intelektualistę jego własny sposób myślenia. Chciałby on wybić się od własnego „outsiderstwa”. Lecz nie udaje mu się zjednoczenie ze społeczeństwem, wchodzi tylko w związek z inną intelektualną abstrakcją, „ludem”, z pojęciem uformowanym zgodnie z wymaganiami niezawodnych roszczeń teoretycznych, po to, by przesłonić nieznośną rzeczywistość codzienności. „Lud” nie istnieje. A nawet gdyby istniał, nie miałby nad niczym władzy, gdyż nie ma takiej konkretnej bazy, na której mógłby zbudować własny legitymizm. Gdy KOR na przykład posługuje się płaszczykiem „głosu ludu”, powtarza stary wzór, ten sam wzór, który pozwolił rodzicom niektórych z obecnych członków KOR-u zdradzić naród polski wobec obcego mocarstwa. Nikt nie może mówić za lud. Nikt nie może mówić za innych. Prawda jednak chce być wypowiedziana, przez te czy inne usta.

W przeciwieństwie do „ludu”, naród nie jest abstrakcją, tylko historycznie dana rzeczywistość, indywidualna i objawiająca się bezpośrednio w języku, zwyczajach, religiach i kulturze. Zawiera się w nim kod prawowitego porządku. Powinniśmy zawsze o tym pamiętać, nawet ci spośród nas — większość — którzy wzbierają się przed przyjęciem nacjonalizmu, tak jak się on wyłonił z Kongresu Wiedeńskiego, by naprzód ustabilizować, a później zniszczyć Europę.

5. Krytyknieł zapyta jednak z pewnością, czy nie ma innego źródła legitymizmu, uzasadnienia, nie odcinającego do tamtych pobożnych zobowiązań, które zdają się żądać od nas tak wiele, tak mało odzrażając ze swej natury? Czy w demokracji nie kryje się rodzaj legitymizmu, który będzie mógł pewnego dnia zastąpić apel od pobożności?

Nie jest to łatwe pytanie. Trzeba tu powiedzieć trzy rzeczy. Po pierwsze, „demokracja” to termin kontrowersyjny i nikt nie wie dokładnie, co on oznacza i jak go zdefiniować. Czyli mamy ciekawą z formułowaniem naszych politycznych wyborów aż rozwiązania zostają wszystkie paradoksy socjalnych opcji?

Po drugie, w Polsce nie ma demokracji i nie będzie jej w dającej się przewidzieć przyszłości. Tymczasem jednak trzeba być i to być bez destrukcyjnej świadomości, że żyje się dla przyszłości, której się nigdy nie osiągnie i nie zobaczy, jeśli nawet ona się kiedyś ziszczy.

Po trzecie, to, co cenno w demokracji to przecież nie ów okresowy kolektywny wybór — coś bowiem godnego uwagi w tym, że się poinformowana większość decyduje, iż będzie oddał prowa-



dziona przez nową partię, do celów, których wcale nie pojmuję lepiej niż rozumiała intencje poprzedniej partii? W demokracji cenne są pewne polityczne wartości, które traktuję dostrzegamy w demokracji brytyjskiej i amerykańskiej. Wartości te jednak istniały, nim pojawiła się demokracja i mogłyby się pojawić także nie mając w niej oparcia. Oto jakie wartości mam na myśli:

- (I) Ograniczona władza: nikt nie może sprawować nieograniczonej władzy, gdy jego projekt zostaje przekreślony przez wybory powszechne.
- (II) Rząd konstytucyjny. Na czym jednak opiera się konstytucja?
- (III) Powszechna zgoda jako kryterium.
- (IV) Istnienie autonomicznych instytucji i swoboda zrzeszania się w nich.
- (V) Rady prawa — inaczej mówiąc, możliwość prawnego osadzenia każdego czynu, nawet jeśli jest to czyn kogoś, kto sprawuje władzę, i nawet jeśli ten czyn dokonany został w imię suwerennej władzy.
- (VI) Legalna opozycja — inaczej mówiąc, prawo do tworzenia partii politycznych i głoszenia poglądów sprzeciwiających się rządowi. Prawo do otwartego zabiegania o objęcie władzy.

Znawcy teorii politycznej nie od dziś zajmują się tymi problemami. Nie mamy tu dość miejsca, by je szczegółowo omówić. Warto jednak podkreślić znaczenie tych sześciu właściwości politycznych. Wzięte razem składają się one nie tyle na system demokratyczny, ile raczej tworzą konstytucyjne ograniczenie władzy. Mówiąc dokładniej, wytyczają one linie dzielące państwo (które jest depozytariuszem legitymizmu) od tych, którzy sprawują władzę w tym państwie. Ci, co sprawują władzę mogą być sądzeni właśnie jako funkcjonariusze dyktujący określonymi urzędami. Stanowi to bez wątpienia istotny element prawdziwego porządku politycznego, a także nieodzowny składnik w pełni rozwiniętego legitymizmu. Legitymizm władzy nowoczesnego państwa możemy bowiem ująć obrazowo jako drzewo, którego korzeniem jest położenie przywiązanie spajające naród w jedną polityczną całość, a pniem suwerenne państwo, kierujące się wytyczonymi przez siebie zasadami. W państwie wie tym pniu rozwijać się „społeczeństwo obywatelskie” — życie publiczne, zarazem otwarte, pełne godności i insynktywnej legalności, której źródłem jest — by wrócić do naszego obrazu — zmagazynowany w korzeniach drzewa legitymizm. Polityczne doktryny naszych czasów uszkadzają tę górną, widzialną i część prawowitego pnia. Tym jednak, co te szkody ułatwia, czyni je możliwymi, jest nie tyle zniszczenie demokracji, ile raczej zduszenie spontanicznych rezerwuów legitymistycznych emocji, odżywiających demokrację.

Demokracja może, rzecz jasna, zachować owej sześć politycznych wartości, które wyliczyłem, ale może je też znaczyć: wszystkie one bowiem zależne są od czegoś, czego nie ma w demokracji. Wskazywałem na to w punkcie (II) — mając na myśli władzę. Co sprawia, że społeczeństwo akceptuje wybory demokratyczne i czuje się związane przez ich wyniki, że posłuszne jest istnieniu prawu i ograniczeniom, które ucieleśniają poszczególne urzędy? Co, inaczej mówiąc, powoduje do życia

owego „ducha publicznego”, który w sposób tak widoczny adretnierował z instytucji rządowych we Wschodniej Europie? Chodzi tu o pewności o szacunek, szacunek dla instytucji, metod działania, sił oraz będących aktualnie w mocy przywilejów. Szacunek owego bierze się z poczucia, iż wszystkie siły, przywileje i metody działania mają w sobie coś prawdziwie „naszego”, coś, co ukształtowane zostało przez społeczne więzi, będące u korzeni naszej sytuacji. Oto skład podchodzą autorytet aktualnego stanu rzeczy: jest czymś oczywistym, iż kryje się w nim cząstka tej pobożnej lojalności, która wyznacza moje miejsce w świecie.

ó, jak ponownie obudzić tego ducha publicznego, który został tak pochopnie zniszczony? Jak odzyskać szacunek politycznych wartości (sumujących się, jak na to wskazywałem, w pojedynczej właściwości konstytucyjnego rządu), w warunkach, w których demokracja nie jest możliwa? Pierwszy krok został przede mną wskazany jak sadze, i jest to krok już postawiony przez Polaków. Jest nim odrodzenie pobożności wobec tego, co historycznie dane i wobec historii, przynależącej te fakty. Co spaja Polaków we wspólną definicję „my”? Nie marksistowska „solidarność klasowa” i także nie uniwersalny humanizm liberalnego idealisty. W pewnym sensie było coś brykocliwego w pomysłach, by nazwać ten ruch „Solidarnością”, posługując się określeniem wziętym ze słownika lewicowego dogmatyka. To tak jakby nazwać ten ruch „wyrwoleniem narodowym” albo „walką” przeciwko „reakcyjnym siłom burżuazyjnego imperializmu”. W świecie komunistycznym można iść dalej, posługując się tamtejszym tym językiem, pod warunkiem, że będzie się tego języka używało przeciwko tym, co go powołało do życia. Z drugiej jednak strony ide świadczy o naszych czasach fakt, że idea legitymizmu władzy, idea konkretnej, historycznej wspólnoty, „my”, a więc coś, co jest prawdziwą podstawą naszej politycznej egzystencji, musiała zaadaptować pojęcia lewicowej socjologii, język „uteoretycznionej” rzeczywistości. I właśnie o to „my” chodzi w nazwie „Solidarność”. Oznacza ona Polskę i to wszystko, co umożliwia Polakom zachowanie ich tożsamości w świecie przetrzymującym na ich polityczną aglądę.

Jednocześnie, chociaż ruch w rodzaju „Solidarności” musi stworzyć możliwość i podstawę nowego odkrycia cnót obywatelskich, jest to jeszcze niewystarczające. Powinniśmy raz jeszcze zająć się fundamentalnym intuicją, której każda nam ajmować życie zbiorowe w kategoriach duchowych — nie jako środek do jakiegoś celu, lecz jako pole wartości, zobowiązania, poświęcenia i nagrody. Zaufanie to wywodzi się z wiary religijnej, lecz zaczyna blaknąć i ulega dezintegracji, gdy tylko słabnie pozycja religii. Dlatego jest rzeczą niezwykle ważną przeciwstawienie się sekularyzacji nowoczesnego społeczeństwa, a szczególnie oparcie się tym tak zwanym konserwatyzm, który chce nas popchnąć w stronę życia całkowicie świeckiego — starego marzenia intelektualistów. Właśnie ten rodzaj oporu jest — moim zdaniem — najważniejszym obecnie problemem „socyjalnym”. Jest jednakże i inne, bardziej konkretne zadanie — zadanie, którego realizacja jest odpowiadaniem na wyzwanie natury „politycznej”.

Zadanie to polega na zmniejszeniu nieustępliwe-

go systemu politycznego, by wziął pod uwagę wartości polityczne, na nakazaniu władzy, by posładała się dyscyplinie prawdziwej praworządności. W zakończeniu chce wyjasnić, jak rozumieć to ostatnie zadanie.

7. Czym więc jest prawdziwa praworządność? Wykazywałem już za różnice między prawem abstrakcyjnym i konkretnym, podkreślając, że tylko to drugie może zapędlać łaskę; wytworzona przez brak legitymizmu władzy. Najlepszym przykładem prawa konkretnego jest angielska tradycja *common law* — prawa ustanawiane przez sędziów w odpowiedzi na konkretne problemy, z jakimi mają oni do czynienia. Z podobnej praktyki ogólnie zasady wyłaniają się bardzo powoli i zawsze poddane są surowej kontroli życiowego doświadczenia. Każde prawo, będące rezultatem poważnej sędziowskiej refleksji, wspartej na precedensach i autorytetach, musi na sobie stempel konkretnego historycznego porządku. Znajduje ono też odpowiedzi na rzeczywiste konflikty ludzkie i próbuje je szczerze rozwiązywać, zamiast występować z receptą satysfakcjonującą intelekt, lecz nie do przyjęcia przez strony sporu. Takie prawo zawiera w sobie prawdziwe źródło autorytetu, to jest przekonanie strony skarżącej się, że sąd wymierzy sprawiedliwość nie jakoś abstrakcyjnie, lecz właśnie w tym szczególnym przypadku i w świetle szczególnych okoliczności, być może nie występujących nigdzie, tylko w tej właśnie, pojedynczej sprawie. Żeby jednak konkretne prawo mogło być w mocy, sędziowie muszą cieszyć się niezawisłością. Sędziowska niezawisłość sprawia też, że zabezpieczona są wszystkie te prawa, o które walczono rozumnie, nierzwykłe je „prawnami człowieka”. Sędziowska niezawisłość jest gwarancją, że sprawiedliwości stanie się zadość, niezależnie od zamiarów władzy politycznej.

Konkretnie prawo zagrożone jest z dwu stron. Pierwszym niebezpieczeństwem jest zniesienie niezawisłości sądów. To właśnie przeprowadziła partia komunistyczna, dając do instalacji sprawiedliwości „abstrakcyjnej”, „równości” rekompensaty, co w sposób nieunikniony musi prowadzić do konfliktu z konkretną egzystencją ludzką. Drugim zagrożeniem jest powódz prawa pisanego, dekretoz prawnych, prawa wciąż na nowo zmienianego w wyniku niedojrzałych decyzji polityków i ich doradców. Wszystko to jest niezmiennie szkodliwe. Partia komunistyczna nie tylko z całą mocą uznurpuje sobie prawo do wydawania tego rodzaju dekretoz, ale też zlikwidowała jedyny instrument — niezawisłość sądów — który mógłby przekształcić te twory w autentyczne akty prawne. Bez tego pozostają one zaledwie wojskowymi instrukcjami.

Czy można myśleć o przetrwaniu tych dwu dekretoz komunistycznej „praworządności”? Nie jest to możliwe bez odrzucenia systemu komunistycznego. Wierzę jednak, że można działać na rzecz zniesienia systemu komunistycznego właśnie poprzez stałe dążenie do ustanowienia prawdziwej i konkretnej praworządności. Jak to osiągnąć?

Zaczynamy właśnie w tym punkcie konserwatywny teoretyk zatrzymuje się, powiadać, iż nie jest tego zadaniem angażowanie się w praktyczną politykę. A jednak chce dać odpowiedź na to pytanie, jeśli by nawet brzmiała ona ostatecznie i jeśli by odbijała — co jest nieuniknione — swoją niedostatczną większość polskiej sytuacji. Z pew-

nością nie można sobie wyobrazić praworządności bez niezawisłości sądów. Prawdziwy rozdział różnych rodzajów władzy, w sensie w jakim zalecał go Montesquieu, jest w „realnym socjalizmie” całkowicie wykluczony. Czy jednak równie nieprawdopodobne byłoby próby wprowadzenia niezawisłości sądów? Myślę, że nie. Przecież wyniki procesów sądowych natychmiast zyskują sobie wielki rozgłos. Reżim komunistyczny płaci sioną cenę polityczną za ciągłe posługiwanie się procesami pokazowymi, kłamliwymi oskarżeniami, fałszywymi dowodami i za wywieranie presji na prawników i sędziów. Należałoby więc zacząć od rzetelnej analizy i dokumentacji prawnej; prawdziwych sprawozdań z rozpraw, badania sensu i zastosowania praw oraz bezlitosnego wykazywania wszelkich błędów i oszustw sędziowskiego rozumowania i orzekania o winie. Krótko mówiąc, chodzi o autentyczne (sporządzone w podziemiu) raporty prawne. Powinny im towarzyszyć próby nadania rozgłosu takim obserwacjom, ostrą satyrą, a także instrukcje dla tych wszystkich, którzy mają stanąć przed sądem, obojętnie czy w sprawie politycznej czy politycznej — jak mają się bronić i jak wykryć i wykazać braki procedury prawnej. Można do tego dołączyć także studium historycznego kształtowania się sadownictwa, czy też studia porównawcze nad różnymi systemami prawnymi. Wszystko to można prowadzić w miarę spokojnie, długofalowo, bez namierzonego rozgłosu, nie prowokując tak wybuchowej reakcji, jaka nastąpiła po założeniu „Solidarności”, za to licząc na trwałość tego rodzaju działania.

8. Liberalizm podkreślał zawsze znaczenie praworządności. Tyle że liberalna praworządność cechuje się abstrakcyjnością, skupia się na czysto filozoficznej idei „praw ludzkich”. Jaka jednak wartość będą miały ludzkie prawa, jeśli nie podtrzyma ich właściwy proces prawny? Poza tym, czyż utrzymywanie wiary w te zwolnicze abstrakcje nie ułatwia zadania przeciwnikowi, podsuwając mu jeszcze jeden bastion, w którym będzie mógł bronić swej prawowitości? Czyż nie będzie on mógł powiedzieć, że takte i on dba o ludzkie prawa — tyle że są to inne prawa? (Prawo do pracy na przykład, lub prawo do dysponowania środkami produkcji.) Jeśli spojrzeć na Rewolucję Francuską, łatwo zobaczyć, jak przedko doktryna „ludzkich praw” może być przekształcona w instrument najbardziej przerażającej tyranii. Wystarczy postępować tak, jak postępować jakobini — zlikwidować sadownictwo i zastąpić je „trybunałami ludowymi”. Wtedy wszystko staje się możliwe, oczywiście zawsze w imię Praw Człowieka.

Dlatego też, odpowiadając na wyrwanie liberalizmu, trzeba koniecznie pracować na rzecz restauracji sprawiedliwości rozumianej w sposób konkretny. Trudno sobie jednak wyobrazić, że prawo konkretne, którego broniliśmy w tym artykule, spotka się z uznaniem socjalistów bądź też liberałów. Ma ono to do siebie, że nie likwiduje nierówności, przyznaje przywileje, usprawiedliwia fakt posiadania władzy. Stąd też bierze się jego siła. Gdyż nierówności nigdy nie zanikną, zawsze będą utrzymywały się przywileje, zawsze będziemy mieli do czynienia z władzą polityczną. Są one po prostu właściwościami każdego porządku politycznego. Jeśli jednak nierówności, przywileje i władza utrzymują się stale, powinny mieć towa-

rytysa w postaci prawa, które je uwzględnia i usprawiedliwia. W przeciwnym razie będą i tak istniały nadal, tyle że pozbawione sankcji i nie poddane kontroli.

ROGER SCRUTON

Tłumaczyl z angielskiego Andrzej Swędowicz

Niniejszy artykuł przedrukowaliśmy ze znakomitego taryskiego kwartalnika "LIBRARY", nr 4/85 - podobnie jak tekst "Arki" zamieszczony w numerze poprzednim. Wskutek nieporozumienia na osi Kraków-Warszawa nie maścisaliary, o tym w porze dzim numerze. LIBRARY!!!

Roger SCRUTON - wykładowca filozofii na University of London. Redaktor naczelný "The Salisbury Review", kwartalnika poświęconego myśli konserwatywnej. Autor książek z dziedziny estetyki, historii filozofii i filozofii politycznej: "Art and Imagination, From Descartes to Wittgenstein, Kant, The Learning of Conservatism, A Dictionary of Political Thought".

## paz: Opozycja gospodarcza w ZSRR

Pilarami każdej cywilizacji godnej tego miana, prężnej i żywotnej, są trzy rodzaje ludzi: wolni producenci, kupcy oraz rycerze - bezinteresowni obrońcy tej cywilizacji i jej wartości. Można być pewni, że tam, gdzie istnieją wolni wytwórcy, kupcy i rycerze panuje wolność, krzewią się nauki i sztuki i kwitnie życie religijne. Cywilizacja komunistyczna, jeśli w ogóle wolno użyć tego określenia nie popadając w szerzoność wewnętrzną, niemal całkowicie wypłeniła kupców i wolną wymianę dóbr, producentów wytępiła zastępując ich biurokratami i zniewolonym proletariatem oraz niewolnikami w łażrach, zaś funkcję rycerzy pełnią w nich wynudzeni janczary i nomenklatura, walcząca wszakże nie bezinteresownie w obronie niewymiernych, lecz do życia niezbędnych wartości takich jak wolność lub honor, ale broniąc jedynie własnej władzy i pozycji. Nie udało się jednak komunizmowi całkowicie wcielić z powierzchni opанowanej przez ziem trzech powyższych kategorii ludzi wolnych. Zostali oni natomiast niezwykle zredukowani liczebnie oraz zmarginalizowani - niemal wszyscy przędzcy czy później kończą w więzieniach, łażrach lub przed plutonem egzekucyjnym.

Najwięcej stęsknowo wiemy o rycerzach. Oczywiście w komunizmie rycerze - podobnie jak w swoim zakresie kupcy i wytwórcy nie bronią cywilizacji, w której żyją, a zwracają się przeciwko niej. Bronią pewnych fundamentalnych wartości, z których wiele wcieliło się w społeczne urządzenia Zachodu. Walczą o poczucie praworządności, o prawo decydowania o sobie, o prawo do godziwej egzystencji, o prawdę - ta walka jest dla nich warunkiem godności, własnej i poczucia sensu życia. Którego ogromną większość spędzają zwykle za kratami.

Jednym z takich rycerzy - czystych i bezinteresownych jak Perceval czy Sir Gawen, nieustraszonych jak Lancetot, jak oni stawiających czoła samotnie - lub z małą drużyną - całej potęgę szych mocy jest Włodzimierz Bukowski. Bez miecza ani tarczy, sbrojny jedynie w przenikliwą inteligencję, niedościgniony realizm i żelazną wolę w służbie etycznego imperatywu, Bukowski przeciwstawia się armiom komunistycznego Lewiatana. Jest jednym z niewielu Rosjan, którzy znalazłszy się na Zachodzie potrafili dalej z powodzeniem progadzić swą bezkrawą wojnę nowymi środkami. Objawił się jako niezwykle talent pisarski, a jego wspom-



zienia pt. "I powraca wiatr" /Polonia Book Fund, Londyn 1983/, których znakomity przykład zawdzięczamy byłemu krakowianinowi, Andrzejowi Mietkowskiemu, są dla mnie "książką roku". Wiele by pisać o książce i jej walorach literackich - choć może nie wypada skupiać się na formie wobec zawartości będącej opisem kilkunastu lat życia człowieka wolnego w ZSRR: krótkie miesiace aktywności wypełnione gorąską aktywnością - zbieraniem informacji o bezprawiu, o łagrach i więzieniach psychiatrycznych, organizowaniem opinii publicznej, przekazywaniem wieści w świat, przerywane latami więzień, "psychuszek", łagrów. Setki postaci, szybkim piórem malowanych portretów kolegów, współwięźniów, śledczych, zadziwiająca i najczęściej tragiczna tkańka sowieckich losów wypełniają karty tej książki. Wiele by pisać, ja jednak skupię się na pewnym drobnym a niezwykle ważnym wątku.

Jest rzeczą zdumiewającą, iż rycerz Bukowski dostrzega - boć: jako jedyny spośród głowniejszych tzw. dysydentów - problemy kmpców i wytwórców w ZSRR i czyni na ten temat niezmiernie interesujące spostrzeżenia. "Zastanawiające to - powiada - opętani problemem swobod intelektualnych nie zwróciliśmy uwagi, że w 60-tych, 70-tych latach władza usiłowała praktycznie zniszczyć ekonomiczną opozycję w kraju..." /s.134/ W tej książce naprawia ów błąd. Opozycja ta miała dwa nurty. Po pierwsze - podziemny kapitalizm, po wtóre zaś - we władzach tak zwani "ekonomiści" albo "managerowie".

Dla podziemnego kapitalizmu postacią typową będzie Josif Lwovics Klempert, dyrektor moskiewskiej fabryki farb. "Szkoda - mówił - dóbr. I tak przypadną, nikomu to niepotrzebne. Zaczęłam od tego, że wykorzystywałam dla nielegalnej produkcji odpady, które i tak szły na wysypisko. Później udoskonaliłmy sprzęt i technologię, warasza wydajność, a dochód dzieliliśmy między sobą - od tego wszystko się zaczęło. Potem okazało się, że nie tylko my jesteśmy tacy mądrzy - cała gospodarka pracuje podobnie." /s.131-132/ Klempert dorobił się milionów, które oczywiście trzymał ukryte. A jak wpadł? Oto zachciało mu się zabawić w inwestora. Nie mógł się doprosić o dom dla swoich robotników, niemieckających w jakichś koszmarnych barakach. Sięgnął wreszcie do swego "banka sienskiego" i za drobną część własnych pieniędzy dom zbudował. Natychmiast zaczęły się inspekcje poszukujące źródła funduszu budowlanego, machinacje wyszły na jaw, Klempert dostał KS.

Inny casus: pan I przyjeżdża do kopalni i proponuje za rozsądną cenę sprzątnięcie hałdy żużlu, czym uszczęśliwia dyrektora. Następnie jedzie do kołchozu i proponuje tani żużel do obór równie uszczęśliwym przewodniczącym. Kołchozowymi ciężarówkami przywiozi żużel do gospodarstw. Wszyscy są zadowoleni, szereg nierozwiązywalnych adawałoby się problemów dla obu przedsiębiorstw przestaje dręczyć. Dyrektorów - tylko pan I dostaje w efekcie 5 lat więzienia. W czasie nasilenia walki z przestępczością gospodarczą "tylko w okresie od listopada 1962 do lipca 1963 odbyło się ponad 80 procesów gospodarczych w dziesiątkach miast Związku Sowieckiego i 163 osoby zostały skazane na śmierć." /s.135/.

Jeśli chodzi o "ekonomistów" u góry, to, jak powiada Bukowski, "nie mieli żadnej specjalnej teorii i wszystkie ich propozycje sprowadzały się do jednej, niezwykle prostej myśli: aby gospodarka się rozwijała, należy ludzkom płacić za pracę pieniądze, pieniądze rzeczywiste, i nie kępować tak bardzo iniojatywy gospodarczej kierownictwa produkcji". /s.134/. Symboliczny pod względem losów odgórnego reformizmu jest los Iwana Nikoiforowicza Chudenki, pracownika Rady Ministrów ZSRR, który w r. 1960 posta-

nowi! przeprowadzić eksperyment ekonomiczny w sowchozach Kazachstanu. Sprobać samodzielność finansową i system bodźców materialnych, płacił za wyniki pracy i w błyskawicznym tempie udało mu się dziesięciokrotnie zmniejszyć zatrudnienie ludności i maszyn w sowchozach, siedmiokrotnie zwiększyć dochód /na jednego zatrudnionego/ i czterokrotnie podnieść pensje. Po kilku latach sowchoz nagle zamknęto. Walkę pomiędzy "ideologami" i "ekonomistami" wygrali ci pierwsi. Chudeńko walczył legalnymi metodami, zwracał się do sądów. W 1973 r. został skazany za kradzież własności państwowej na 6 lat, a rok później zmarł w szpitalu więziennym. W tym samym okresie powstawały w ZSRR kluby "Pochodnia", realizujące na zasadach umowy zamówienia na projekty techniczne i racjonalizację, "Ci sami inżynierowie i pracownicy nauki, którzy w ciągu dnia nie mogli w swych instytucjach naukowo-badawczych za pensję zrealizować tych projektów - w czasie wolnym od pracy, samodzielnie, bez nadzoru partii i związków zawodowych, lecz za godziwym wynagrodzeniem robili to znakomicie, w rekordowych terminach i przynosząc państwu wielomilionowe zyski. W latach siedemdziesiątych, w szczytowym momencie odprężenia i importu zachodnich kapitałów i technologii, kluby te co do jednego zostały zamknięte, a ich kierownictwo posadzono /s.136/.

Oto spostrzeżenie godne szczególnej uwagi: "w szczytowym momencie odprężenia". Defetante w decydującej mierze przyczyniła się do zwycięstwa "ideologów" i do likwidacji tendencji reformistycznych. Gospodarka radziecka lat 60-tych nie zdecydowała się na KEP. Z wyników eksperymentów zbyt wyraźnie przebiegała wyższość kapitalistycznych metod gospodarowania nad socjalistycznymi. "Ideologowie" przestraszali się widma gospodarki rynkowej i związanej z tym utraty kontroli nad ekonomią, widma ubóstwa, niemożliwości partyjnego kierowania gospodarką i uzyskania przez ludzi większej samodzielności. Lecz decydującej pomocy udzielił im Zachód. Zasygnalizuj raz jeszcze: "W charakterze alternatywy dla istotnych reform wewnętrznych 'ideologowie' wysunęli projekt 'pokoju naturalnego' odprężenia. Postawili sobie za cel uzyskanie szerokiej pomocy gospodarczej i zwiększenie handlu z Zachodem. Po co im niebezpieczne reformy, jeśli można otrzymywać wszystko w zagranicznych opakowaniach? Nawet przenić, można się w Kazachstanie a zbierać w Kanadzie. Zaprzestano wszelkich eksperymentów, a eksperymentatorzy z reguły znaleźli się w więzieniach." /s.135/.

Jakiż stąd wniosek? Najłatwiej rzecz jasna o pesymistyczne: oczywiście nie udało się się, TAM /a więc i tutaj/ nie się nigdy nie może zmienić itd. Ja spojrziałym jednak od innej strony. Po 60 latach komunistycznego chowu znajdują się ludzie zdolni do gospodarczych inicyjatyw - zarówno na społecznej "górze" jak i na dole. To obiecujące. Widocznie Zinowiewowski homo sovieticus nie zapanował jeszcze powszechnie. A po które - my żyjemy w obszarze łagodniejszych temperatur. Reformiści we władzach nie kończą na ogół na więzieniach i łagrach. Jest ich chyba więcej niż w ZSRR. Działaniom ich należy przyglądać się sceptycznie, lecz - kto wie? Może i nasza reforma przełamie kiedyś swój impas i przyniesie choćby niewielki i krótkotrwały ekonomiczny pożytek? Zwłaszcza, że w najbliższym czasie nie grozi nam nowe "odprężenie".

Czytelnicy powyższego zachcą wybać, że z bogatej, znakomitej książki Włodzimierza Bukowskiego zgodnie z naszym kupiecko-produkcyjnym nastawieniem wybraliśmy ten wątek, pomijając inne. Radzi wszakże byłibyśmy sprawić, aby i nasi rycerze wzorem Bukowskiego potrafili zyczyć i ze znanstwem zainteresować się problemami kupców.

(13 4/84)

# POMIESZANIE

## z potrząsaniem maczugą

Z PZPR otrzymaliśmy referat KaCyka od kultury, p. Witolda Nawrockiego. Wygłosił on go kierowniczym aktywistom partyjnym z wydawnictw 29 listopada ub.r. Ponieważ PZPR nie dysponuje odpowiednim przydziałem papieru i nie zdołało szerzej zapoznać publiczności z tym dokumentem - śpieszymy naprawić jej zaniedbanie.

Niestety, tekst liczy ponad pół setki stron - i rozumiemy, dlaczego po takiej porcji młócić wielu partyjnych rzucą legitymacje: nie mają sił ani czasu, by tego słuchać. Stąd ograniczymy się do sensownych fragmentów, pomijając takie rewelacje jak: "... przyrost naturalny /.../ jest procesem, a nie zjawiskiem jednorazowym" oraz inne gładzenie. W gruncie rzeczy dopiero wybór fragmentów pozwala zrozumieć, o co Autorowi chodzi: sens zalany jest bowiem potokiem słów.

Podstawowy kłopot tkwi w tym, że Autor sam nie bardzo wie, o co mu idzie! Chciałby on bowiem upowszechnić dzieła "wzmagające poczucie identyfikacji człowieka z narodem /.../" - ale też "przeciwdziałające rodzeniu się lub odżywaniu nacjonalizmu". Referent próbuje pogodzić prawdziwe wartości narodowe - z deklaratywnymi, internacjonalistycznymi. Podobnie: popiera wolno-rynkowości: pp. Tołpłitza, Rokowskiego, Sandauera i Urbana - a jednocześnie ostro przeciwstawia się samej idei lansowanej przez nich reformy, gdyż wprost potępisz "pracę wymagającą najcięższego wysiłku, a przynoszącą największe zyski" - czyli samą sól myślenia gospodarczego! Naśladując przy tym styl Jana Pawła II: "kategoria państwa posiada szczególne znaczenie we współczesnym myśleniu społecznym i wyrażana jest w niej wartość szczególne w życiu współczesnego społeczeństwa, i praca nad jego umocnieniem, zrozumieniem jego funkcji, rzetelny stosunek do obowiązków obywatelskich, są szczególne problemy współczesnego patriotyzmu".

Przy tym dla Autora "Niepojęty jest przyrost postaw mesjanistycznych, klerykalnych, nietolerancyjnych, mistycznych w części polskiej publiczności wykształconej". Proszę, proszę: "OFFICyna LIBERALOW" od lat przewidywała, że taki będzie skutek działalności PZPR. To PZPR, a nie kto inny, do tego doprowadził - i to PZPR ponosi za to odpowiedzialność: chciała kształtować społeczeństwo - no to ukształtowała i niech się teraz tłumaczy na Kremlu! Tego nie da się zważyć na wpływ laickiego lub ateistycznego Zachodu...

Referent przyjmuje do wiadomości, że: "nie wszyscy godzą się na instrumentalne traktowanie wydawnictwa, przez co rozumie wpisanie go w system wartości, które partia i socjalistyczne państwo uznają za najbardziej pożądany i najbardziej optymalny /sic!/ z punktu widzenia nadrzędnych celów edukacyjnych". Co więcej wredni wydawcy bezczelnie twierdzą, że państwo zrobiłoby najgłupsze, gdyby stosowało się do sprawdzonej maksymy: "Nie przeszkadzać". Ba - ale co wtedy robiły p. Nawrocki i Ska? Mógłby tylko informować "o nieprzyjemnym i godnym ubolewania fakcie, że niektórzy uczestnicy ostatnich Targów Książki we Frankfurcie miast zajmować się promocją polskich książek znaleźli czas na niedopuszczalne kontakty z przedstawicielami ośrodków dywersyjnych, a wracając do kraju naruszyli przepisy celne. Takie postępowanie uznajemy za naganne i przynoszące ujmę polskiemu edytorstwu". Za informację dziękujemy - ocenę mamy zupełnie inną.

Referent jest szczery: "Nieprzekonanych chcemy przekonywać i wyjaśniać nieproste sensy naszej polityki kulturalnej / pardon: jak ma coś wyjaśnić ten, dla kogo niepojęte jest podstawowe zjawisko w świadomości czytelników - i który ma w głowie groch z kapustą? / i będziemy prowadzić rozmowę tak długo, póty będzie potrzeba lub dopóty

obie strony nie uznają, iż jej kontynuowanie jest pozbawione wszelkiego sensu, bo argumenty i racje, jakie przedkładany są odrzucając w innych opozycyjnych, antysocjalistycznych programów kulturalnych. Można i należy perswazją i przekonaniem zastąpić wówczas innymi i bardziej jednoznacznymi rozstrzygnięciami". Autorowi nie przychodzi do głowy, że wydawcy nie kierują się żadnym opozycyjnym programem, lecz gustem czytelnika - i nie nie mogą poradzić, że ten woli p. prof. L. Kołakowskiego od p. prof. Jarosława Ładosza. Ten ostatni - jak białoli Autor - po wielu latach doczekał się wydania książki "Socjalizm i komunizm" w nakładzie 1800 egz. To istotnie mało - ale też leży ona nadal w księgarniach mimo całkiem niezgorszego warsztatu metodycznego p. Ładosza; oś, kiedy nikogo nie interesuje dziś ani socjalizm, ani komunizm - w każdym razie w wydaniu peerelowskim.

Literatura - zdaniem Referenta - dzieli się na cztery obłogi:

- 1/ "oficjalna" - zwana też przezeń narodową
- 2/ "alternatywna" - czyli podziemna
- 3/ chrześcijańska /wężej: katolicka/, która z kolei dzieli się na pro- i anty-socjalistyczną
- 4/ enigracyjna.

Do tej pory wydawało się, że pisarze bojkotują - a państwo chce zatrzeć tę różnicę. P. tow. Nawrocki prowadzi jednak politykę własną, sprzeczną z państwową: "Po prostu: tu Krasinski i Norwid - tam Krasinski i Norwid, tu i tam Mickiewicz. Jeśli te same dobra mają funkcjonować w Kościele, to powstaje pytanie po co, jeśli już istnieją w obiegu narodowym?" Krytykuje/słusznie/ pisarzy domagających się nadal mecenatu państwowego mimo działalności opozycyjnej - nie rozumieją jednak, że wydanie komuś dobrej książki, to nie mecenat, lecz obopólny interes. Zdaniem referenta to pisarze chcą - za poduszczeniem niejakiego Jacksona Diehla /kto to jest, na litość Boga?/ - funkcjonować we wszystkich czterech obiegach, z czego wynika, że PZPR powinna do tego nie dopuszczać. Referent rozrywa szaty: "Wojciech Miłynarski nawet tytułu nie zmienia i tę samą książkę wydaje w kasie na Zachodzie i w "Iskrach". Mam propozycję: niech "Nowa" lub Kościół wyda po 100 egz. Lenina, Kurowskiego etc. - po czym państwo obrazi się na tych pisarzy i będzie więcej papieru.

Referent dzieli dla "najwyższego dobra kraju", co oznacza takie racje ogólne jak "siła i niepodległość - państwa, równowaga społeczna, rozwój i postęp kraju, jego znaczenie międzynarodowe itd." - Jednocześnie za niepodważalne uznaje zasady "prymatu własności społecznej, wiodącej roli klasy robotniczej, poszanowania dla sojuszy politycznych, umacniania socjalistycznych struktur ustrojowych i społecznych. Co jednak robić, gdy te zasady dają efekt dokładnie przeciwny niż w czono składniki "najwyższego dobra kraju"? Autor nie pisze - wnosić jednak należy, że "najwyższe dobro" mogą wziąć diabli, byle realny socjalizm realnie kwitł.

W każdym razie "Nie można zgodzić się, by autor związany z opozycją anty-socjalistyczną, klerykalną lub postsolidarnościową poprzez wydawaną w państwowym wydawnictwie książkę szczył poglądy obojętne lub wrogie systemowi wartości, który obowiązuje w kulturze narodowej. Co prawda: "Na marginesie tej sprawy warto podkreślić, że polityka w dawniczo naszego państwa charakteryzuje się otwartością na całą twórczość stanowiącą trwały wkład do nauki polskiej i światowej, wyrażającą ogólnoludzkie wartości humanistyczne, niezależnie od ich światopoglądowych źródeł." Zabawne, co? Ale najzabawniejsze, że to drugie zdanie jest w pewnym sensie prawdziwe - co zawdzięczać należy temu, że p. Nawrocki i jego zgraja przestali się orientować, jakie wartości są "nasze", a jakie "wrogie". Tak to bywa, kiedy lokomotywa historii z gwizdem zawraca ...

W sprawach konkretnych p. tow. Nawrocki jest mniej groźny. "Wielki Książę" J.M. Rymkiewicza nie powinien być wydany "Nie dlatego, że

pisarz w tej książce łagodzi tylko i osłabia językowy wyraz dezaprobaty dla komunizmu /.../, ale głównie z tego powodu, iż tekst ten pozostaje w jaskrawej sprzeczności z książką Andrzeja Wasilewskiego "Wschód, Zachód i Polska" oraz z tomem Jerzego Adamskiego "Dno oka" wydanymi w tym samym wydawnictwie i budzi uzasadnione pytanie o sens i jedność naszej polityki wydawniczej". Cudowne !!!

Przy tym wszystkim p.WN wychwala przede wszystkim jawnie anty-socjalistycznych autorów, jak pp.Bocheński / jego "Dzieje głupoty w Polsce" o mały włos nie zostały wydane przed Sierpnem pod zięcią przez "Officynę Liberałów"/, Dobraczyński, Urban, Nakowski i inni - za to oberwało się ...p.Jerzemu Putramentowi, "który w kolejnym tomie swej książki przekonuje nas, iż w swym kamerdynerskim stosunku do oglądanej od strony alkowy i kuchni historii nie zna ilości dla ludzi lewicy, nawet dla bliskich sobie ludzi. Dziwne obroty "rzeczy ludzkich" kąsa mu stronę, na której się znajduje, oczywiście śmieszna i nikożenna; co ciekawe: Jerzy Putrament w tej pozycji oglądany też nie wydaje się ani większy ani lepszy." Ha!

Wygląda więc na to, że p.WN jest rozpaczołwie zagubiony. Odkąd cenzura przestała patrzeć na nazwiska - nie wie on, kto głosi właściwe poglądy. Wykwa więc na pomoc redakcje: "Niepokoić musi coraz częściej widoczne zjawisko obniżania się poziomu pracy redaktorskiej. Odnosi się czasem wrażenie, że redaktor spełnia jedynie rolę korektora i albo zupełnie nie potrafi ocenić redagowanego dzieła, albo w sposób świadomy uchybia się od tej oceny. Oczekiwanie, że wyrozą go w tym Cenzura jest nie do zaakceptowania." Redaktor powinien zatem stać się cenzorem / a co na to pracownicy cenzury?/, wydawcy - księgarzem/ taki! - ale posine tu cytaty/, zaś księgarze powinni chyba zastąpić brakujące sprzątaczkę - i dopiero byłoby OK.

Ze spraw merytorycznych: w zasadzie popieram 80% pochwał i zaszczezeń p.WN. Istotnie, wydaje się zbyt wiele literatury drugorzędnej z dziedziny SP. Istotnie, dobrze iż wydano książki o Piłsudskim i fragmenty Piłsudskiego nawet mimo tendencyjnego wyboru. Istotnie wartości szerszone przez lewicę /p.WN nazywa ją "siłami antysocjalistycznymi"/ są groźne; mowa o p.prof.Baranczak i towarzyszach. Faktycznie dobrze jest wydawać książki emigracji - i niech sobie je p.WN zaopatruje figowym listkiem "krytycznych, orientujących polskiego czytelnika wstępów". Istotnie, niektórym opozycjonistom /dziwne: zawsze lewicowym.../ urząda się niezastężone festiwale. To, że przy okazji p.WN upomina się o książkę p.Wł.Kaczochy "Inspiracje mar-ksiistowskie w filozofii kultury" mogą przekonać: zapewne to jego zięć. Przeżyjemy i to. Aha: p.WN w y o c h w a l a analizy p.Michała Novaka - pewno nie wie, że akurat wychodzą one pod ziemią...

Z wniosków warto odnotować: propozycję weryfikacji koncesji edytorskich /tylko w zakresie książek dla dzieci i młodzieży - gdzie sytuacja istotnie była skandaliczna; p.WN przeszkadza ją jednak nie bezsensowne ramoty kochanek wydawców, lecz Rodziewiczówna, Przyborski i Gąsiorowski/; system bota i marchewki: wydawnictwa nieposłuszne otrzymywałyby o 5-10% mniej papieru co roku - a posłuszne o tyleś więcej / nie wiadomo, czy ma to dotyczyć wydawnictw partyjnych-państwowych - czy również kościelnych i niezależnych?/. Najgorsza jednak propozycja, to zatwierdzanie planów wydawniczych centralnie - z górydziałem papieru na polistawie tych planów. Jest to oczywiście koniec samorządności, również gospodarczej.

Jeśli dodać do tego rytualne biado-lenie, że nie wydaje się młodych, posłusznych i członków neo-ZLP - to byłoby wszystko. Zwycięża mętnik umysłowy - i niezawodna biurokracja. Postaramy się przeczekać.

Od red: Polib zapomniał, że p.tow.Nawrocki zainteresował się jeszcze pisarzami z demoludów, wydawanymi w Polsce (choć trefnymi u siebie) - i zarządził położenie kresu tym niecnym praktykom. Były nazwiska...

Polib



## Jak nie kłamać?

W tym kąciuku będziemy uczyć czytania prasy - jak również uczyć jak - nie kłamać - fałszować treść komunikatów.

● Na początku: "Rzeczpospolita" /1-2 luty br./ donosi o nadużyciach w naszym mieście. Tytuł "expressowy":

## Wesołe zabawy prezesa za społeczne pieniądze

(C) Prokuratura Wojewódzka w Krakowie poinformowała, że w końcowe stadium weszło śledstwo w sprawie poważnych nadużyć w miejscowym spółdzielczym Przedsiębiorstwie Robót Inżynieryjno-Górnictwowych i Zagospodarowania Odpadów "Sprizopol". Tymczasowo aresztowano prezesa spółdzielni Janusza Więka oraz trzech innych członków zarządu.

/Jak dotąd - jest to sprawozdanie z działań prokuratury. OK./  
W ciągu niespełna roku dopuszczono się tam nadużyć w wysokości niemal 6 mln. zł.

/Na razie Czytelnik musi to przyjąć na wiarę - nie wiedząc, co kraje się pod terminem "nadużycie"/

"Sprizopol" np. zamiast zrealizować plan produkcji wartości 500 mln. zł. wykonał jedynie prace wartości 104 mln. zł.

/Przykład bez sensu. Wykonanie mniej nie jest "nadużyciem". Jest to spółdzielnia - a nie firma państwowa i celem jej jest zysk. Być może np. spółdzielcom nie chciało się zarabiać więcej - a jeszcze prawdopodobniejsze, że progresja podatkowa i IPAZ zmusiły ich do ograniczenia usług/

Nie przeszkodziło to zarządowi spółdzielni w podjęciu decyzji o wypłaceniu pracownikom premii o łącznej wysokości 3,8 mln. zł.

/Sądzić więc należy, że finanse spółdzielni stały nieźle! Premie zresztą sięgały raptem niecałych 4% obrotu./

Ponad 100-tys. premii pobrali prezes, a jego zastępcy otrzymali ponad 70 tys. zł.

/Prezesi dostali zatem niecałe 5% - w sumie, gdyby co do tego dołączyli, mogliby na spółkę kupić jeden telewizor "Helios"... Leto-dą też znany z walki o "Laurę" - gdzie prezes brał 5 lat temu 50 tys. - ale miesięcznie!/  
Prezes ponadto zagarnął na urządzenie przyłącza barbórkowego 575 tys. należące do spółdzielni.

/To rzeczywiście nieładnie. Pozbawił pracowników należnej im po ciężkiej pracy rozrywki w górnie święto - i sparnął szmalajdacki!

Przykład "Sprizopolu" jest zatrważającym i jaskrawym dowodem niegospodarności, owaniactwa, lekceważenia prawa i całkowitej nonszalanacji wobec społecznego bienia.

/Anonimowy dziennikarz zaplula się tłustym drukiem - do tego stopnia, że przekręca nazwę firmy. Zauważmy, że to wtrącone we środek informacji oburzenie nadal nie jest niczym podparte - poza ostatnim zarzutem. O nim za chwilę./

Członkom zarządu przedsiębiorstwa zarejestrowanego w lipcu 1984 zarzuca się też, że przejędli taksewkami ponad 1,3 mln. zł.

/To pytanie podstawowe: KTO zarzuca? Czy Rada spółdzielni lub inne agromadzenie zawiesiły prezesów i zwróciły się do prokuratury?

Jeśli nie - to jest to wewnętrzna sprawa spółdzielni. Samą taką, która postanowiła znoszącą na taksewkach, kupiła samochód, zaangażowała kierowcę - i... zapłaciła parę milionów na IPAZ! Jest cał-

kiem możliwe, że system podatkowy uczynił taksewki najtańszym sposobem prowadzenia działalności. Uważam, kiedy PKI dojdzie do wniosku, że taniej jest sprzedać pociąg na złom i wozu pasażerów autobusy!

Na wspomniane przyłącze barbórkowe specjalnie zamówiono ciele i dwie winie. Prowadził je profesjonalny wodzirej, a uroczystości i

konista i strip-teaserka.

/UWAGA! UWAGA!! Jedyny punkt oskarżenia syple się! Prezes wcale nie "zgarnął" żadnych pieniędzy! Prezes przyjęcie zorganizował! Sądzie należy, że wodziরেj prowadził bal - a nie winie - i to wstaa nie wbudza wściekłości chandw: zamiast wodzireja, iluzjonisty i strip-teaserki powinna być woda i kaszanka!/  
[

W pierwszą rocznicę utworzenia firmy kierownictwo "Sprizopolu" również urządziło wielką biesiadę, za którą zapłacono z kasy przedsiębiorstwa 150 tys. zł.

/ADRES! ADRES! Gdzie u nas można za 150 tys. zorganizować wielką biesiadę!? Zresztą: ludzie powinni harować, a nie bawić się (za swoje pieniądze!). Gwoli scisłości: ze zdania tego wynika, że dziennikarz nie ma racji pisząc, że "nadużyć" dokonano "w ciągu niespełna roku"./  
[

Niedobory pokrywane fikcyjnymi rachunkami.

/Tu nie chodzi o czeki bez pokrycia. Po prostu idiotyczne przepisy nie pozwalają spółdzielcom wydawać pieniędzy na to, na co mają ochotę. Stąd wszystkie spółdzielnie i niemal wszystkie firmy państwowe wpisują do rachunków treść odbiegającą od rzeczywistości./

Akt oskarżenia w sprawie "Sprizopolu" przesłany zostanie do sądu w ciągu dwóch miesięcy. (PAP)

Sądzie należy, że bądźcie on jakos ukutywowany. Bardzo możliwe, że w "Sprizopolu" istotnie popełniono nadużycia. Bardzo możliwe, że poradne. Niestety, analizowany tekst nie zawiera ani jednej rzeczowej, uzasadniającej to, przesłanki (ostatnie niedociągnięcie jest formalne i zazwyczaj kołoczy się uwagę w protokole rewidenta). Można przypuszczać, że prezes zostanie przez sąd oczyszczony i uwolniony - tyle, że skompromitowany odsiadką (bo swoje odsiadki - w te dwa miesiące też nie należy wierzyć!). Ciekawe - komu podpadł? Ciekawe też: jakie jest w tej sprawie stanowisko spółdzielni? Autor tego rozkwilu (z wymienieniem nazwiska! - nie swojego...) nie na ten temat - zapewne przezornie - nie pisze. Poczekamy, zobaczymy.../  
[

## Z A D A N I E D O M O W E :

● W gazecie "The Durban Star" Nr 21/86 ukazała się notatka:

LONDYN (SAA) (C) Komunisty polscy spowodowali krwawe starcia między kibicami drużyn "Naprzód" i "Iskra" w jednym z osiedli koło Złoczebrzeszyna na północny wschód od Poznania. W wyniku zamieszek co najmniej 30 osób poniosło śmierć, a 40 zostało rannych.

Podejmując próbę utrwalenia socjalizmu, Warszawa usiłuje wywołać rozłam w ruchu antysojalistycznym.

● K z a d a n i e : zredagować identyczną nie idiotyczną notkę o RPA!

Odpowiedź: nagrodę otrzymuje dziennikarz PAP (Rzeczpospolita, 26-28 I 86) za tekst następujący: patrz str. 46!

Setki tysięcy miliony Polaków wsiadają do samochodów...

Cośkolwiek ginie na polskich drogach - nie więcej, 20 osób.

Wiemy o tym - a mimo to siadamy za kierownicą i jedziemy.

Takie jest prawo życia. Kto nie ryzykuje - ten nie żyje. Ryzykują górnicy i leśnicy - i ryzykują alpinści. Ryzykują wędrownicy, przez jeziora starcy - i ryzykują ciepiąc się w tramwaju dzieci.

Nie rozumiemy więc wrzawy wokół katastrofy "Challenger". Wiadomo było, że najprawdopodobniej kiedyś się rozwali. Szkoda tylko, że akurat z kobietami na pokładzie.

Wdowa po dowódcy "Challenger" wysłała do p.prez. Reagana list, wyrażający przekonanie, że loty będą kontynuowane.

Czy potrzebne są jeszcze dalsze kontestacje?

## \$ Sprawnie i spokojnie \$

W I n-rze "Kolibra" '85 (czyli w nowej szacie, w ramach "Stań-  
czyka") p. Maurizio Rojski przytacza dane OBOP-u, wg. których znaco-  
na większość Polaków (pon. 55% - ale podział nie pokrywa się z podzia-  
łem na bojkotujących i wybierających!) jest za interwencjonizmem  
państwowym. Nie się to podoba, gdyż lubię jasne stawianie sprawy -  
sam piszę przecież, że nie interesuje mnie, czy słuszne stanowisko  
popiera 10% czy 90% społeczeństwa.

Wszystko to fajnie - i liberalizm stara się usuwać trudności  
przez wywołanie spraw z gestii społecznej - przekazując je jednost-  
ce. Gdy nie ma co każdy kupuje samochód wedle gustu - i n i k t  
nie musi podejmować decyzji "jaki samochód jest najważniejszy dla  
Polaka".

Jeszcze pewne decyzje nie dają się indywidualizować. Jak roz-  
strzygnąć ten konflikt?

Państwo liberalne oferuje proste rozwiązanie: niech socjaliści  
(arianie, filatelisci itd.) sprzedadzą swe dobra, niech kupią za to  
kawałek ziemi i tam spokojnie praktykują swą wiarę. Takie kolonie  
istniały w USA dopóki nie zniszczyła ich centralizacja demokratycz-  
na (sektu "Temple" musiała emigrować do Gujany, mormonów zmonogami-  
zowano siłą - jedynie kolonie socjalistów same zbankrutowały...) -  
nie ma powodu, by nie istniały w Polsce.

Jeśli w Polsce większość jest za socjalizmem - to i ta kolonia  
musi obejmować większość ziem. Wyście z socjalizmu - bez rewolucji  
i innych zaburzeń - wiedzie więc przez wydzielenie stref "Polski  
Swobodnej"; wierząc, że ich teren będzie się powiększał, w miarę jak  
sukces praktyczny podągnie zwolenników.

To nie jest utopia! ten system wychodzenia z socjalizmu pierwszy  
wprowadził w życie Cejlon - a obecnie stosuje go kilka krajów, z cze-  
go najbardziej jest przykład Chin.

W takiej "wolnej strefie" poza średnio jednakowymi podatkami  
nie obowiązują żadne kodeksy pracy, cła, taryfy, ceny regulowane,  
zakazy wykonywania zawodu, BHP itp. Iżna wolno-amerykanika. Sukces  
bardzo prawdopodobny - o ile większość nie przystąpi natychmiast do  
deklaracji strefy na potrzeby rządzącej większości...

Teraz kolejna bomba: przed dwoma laty doszły mnie słuchy, że  
można rozważyć utworzenie takiej strefy - konkretnie miało nią  
być zbuntowane Wybrzeże. Niech mają - pomyśleli zapewne bonzowie -  
i niech zwolnieni z pracy stoczniowcy wdychają za socjalizmem!

Nie bardzo wierzą, by polska biurokracja potrafiła powstrzymać  
się przed nałożeniem na taką strefę jakiegoś ograniczeń - od czego  
cały pomysł diabli biorą, na co wskazuje los Chile. Nie sądzę, by  
najlepsze było Wybrzeże - czemu nie Wielkopolska plus część Wybrze-  
ża? Tradycja to rzecz ważna - a jedynie Wielkopolska żyła dłużej w  
zdrowym, praworządnym kapitalizmie. Nie wiem też, jakie argumenty  
przeważąły na "nie" - podobno zdecydowała śmierć Andropowa - co,  
być może, oznacza, że po śmierci Czernienki sprawa wróci.

Słyszalem jednak argument, że "strefa wolnościowa może sobie ist-  
nieć w Singapurze i Hong-Kongu - ale w naszym kraju jest to nieemo-  
żliwe.

Argument jest wyjątkowo głupi. Oznacza bowiem, że gdy podzielimy  
Wybrzeże na 20 Singapurów - to te 20 Singapurów będzie świetle. Jed-  
nak połączenie ich n i c nie zmienia, gdyż nie można znieść barier  
celnych tam, gdzie ich nie ma! Takwicie więc cała strefa.

Widzę Strefę, a resztę Polski, musi istnieć granica celna - ale  
nie osobowa. Mówię się należy z naszą migracją, jednym d o Strefy  
z a innymi z e Strefy, co wymagałoby stopniowej modyfikacji  
jej granic. Jednak powstanie takiej Strefy - niezależnie od jej po-  
gratychowych rozmiarów - rozwiązałoby wreszcie podstawowy problem  
władzy:



# **Pismo KONSERWATYWNYCH LIBERAŁÓW WROCŁAW**

## **Monarchia nie żyje — niech żyje MONARCHA!**

"... raz Lieberman powiedział: "Niezależnie od tego czy zostaniemy republiką, czy staniemy się monarchią..." co wywołało zniecierpliwioną replikę jego towarzysza partyjnego Ciołkosa: "Zawsze zostaniemy republiką", na co Lieberman pół-żartem, pół-serio: "No, ja tak czarno na przyszłość nie patrzę".

/Stanisław Cet-Łackiewicz,  
"Zielone oczy"

Wydaje się, że wraz z zamknięciem tego rozdziału, który w historii naszej państwowości zyskał miano II Rzeczypospolitej, wraz z zejściem ze sceny aktorów tamtego dramatu, zamknięciem kulis i pogrzebem świateł, umarła /czy bezpowrotnie?/ idea monarchii polskiej. Wielu z góry poświadczonych o specjalnego rodzaju choroby zdrowotnej, historycy i publicyści spierają się co prawda jeszcze o charakter fenomenu monarchistycznego w międzywojennym dwudziestolecu. Padają jeszcze pytania o jego szanse i jego oblicza — nie są to wszak problemy, które stawiano by na arenie publicznej, więcej, które znalazłyby jakikolwiek szerszy krąg słuchaczy.

Niezależnie jednakże od tego, jak przyjdzie nam ocenić rolę i znaczenie monarchizmu w międzywojniu, — jedno jest pewne — monarchizm jako zjawisko polityczne w II Rzeczypospolitej zaistniał, co bynajmniej nie stanowiło prostej konsekwencji faktu, iż istnieli w niej monarchiści. Dla jednych Król był instynktem, dla innych nauką, emanacją ducha i estetycznym wykwitem, zwieńczeniem społecznej hierarchii lub patriotycznym nakazem. Jedni żyli ideą królewską, inni pragnęli Króla-Arbitra. Żelazna, heglowska logika historii chichotała pociesznie z powodu anachronicznej fantazji wszystkich bez wyjątku.



Kto otarł się chociażby o ówczesną, wileńską publicystkę Stanisławę Cota-Mackiewiczą, kto posiedział trochę w kotle zwanym "Brylantami Cota", w którym, z konsekwencją godną mezy, warzył redaktor "Słowa" swe monarchiczne koncepcje - dla tego, jak mierniam - zagadnienie monarchii dla Polski to coś więcej niż wishfull thinking, coś inaczej niżli freudowski kompleks.

Monarchizm Mackiewicza to przede wszystkim konstrukcja prawno-polityczna, postulat utworzenia archimedeśowego punktu oparcia dla rosnącego w partyjniotwie państwa, przeciwwagi dla aproczacyjnych roszczeń mas, swoistych rządów nad-prawa: sprawiedliwości społecznej. Król ma stać na straży stabilności prawa, być gwarancją praworządności i stałej linii politycznej państwa. Król dzierży autorytet moralny, wolny od partyjnej rywalizacji, wyrasta ponad partie, personifikując idee państwową. Nie jest instytucją bez treści, nie jest fasadą, jest z goła fundamentem. Od tronu rozpoczynać się ma polityczne działanie i od tronu odnosić się ma polityczne wyśilenie. Monarchia to władza silna i władza stała, czego żadna dyktatura zapewnić nie potrafi. O ile dyktatura kosztami zwykle przerasta zysk realny, rodząc się z niepraworządności i zastępując prawo hipokryzją powszechną, o tyle monarchia wnosząc za sobą czynnik woli i czynnik równowagi, stwarza fundament inicjatywy obywateli nie narażając społeczeństwa na nową lekcję rządów bezprawia i ubezwłasnowolnienia. Król bardzo chętnie pojmując za sobą liberalną dźwignię.

Prawdziwa tajemnica i czar monarchii spoczywa w boskim połączeniu sentymentu i racjonalności, adopcjowaniu przez aktualnie czynione wybory tradycji wieków i przesłania przodków. Królestwo to pierwszy konserwator i pierwszy moderator tradycji narodu. Pochodzi to stąd, iż monarchizm jest np. dla Mackiewicza świadczeniem konserwatywnej ideologii.

Czy zatem może istnieć konserwyzm pozbawiony postulatów monarchii? Odpowiedź na to pytanie jest oczywista: tak. Konserwatyści, wbrew temu, co pisał Mackiewicz, rzadko konstytuowali się w oparciu o zasadę monarchii. Dziś także powiadają: "Co nas najmniej dzieli to socjalizm" nie jak niegdyś: "Republika - oto co nas najmniej dzieli!".

Konserwatyści dzisiejsi są zwykle "monarchistami w sercu", często sine ira et studio dywagują na temat króla, spekulują o szansach polskiego legitymizmu - gotowi nawet poświęcić tron synowi radzieckiego przywódcy. To prawda, że historia stanowi zbiór urzeczywistnionych fantazji. Ani Piotr Wielki, ani Lenin nie zostali przewidziani przez statystów realnych - wypadnie się zatem konserwatystom polskim zastanowić nad tym, czy oczywiście, z pewnego punktu widzenia, fantazja ekonomicznego liberalizmu nie wielokrotnie postulat monarchii dla Polski. Póki co problem - jak być bardziej monarchistycznym od Mackiewicza? - stoi nietknięty, dziewczęcy sgoła. Nie wydaje mi się, aby, nawet pod obecność monarchistów, miał szansę zaistnieć dla Polski problem monarchii jako zjawiska politycznego. Jego subtelności wobec zagadnienia o znacznie większym ciężarze gatunkowym nie szukają dzisiaj legitymści. Cóż tedy mają czynić polscy monarchiści? Po jakie mają sięgać surogaty?

Zniecierpliwiony czytelnik, zapewne ze zdziwienia przecierając oczy, niechaj prześciane się dziwić. Powód, dla którego pozwoliłem sobie na tak obszerną aluzję do monarchizmu Cota i monarchizmu bezimiennych, jest bowiem niezwykle znaczący, niezwykle uroczysty - mianowicie... koronacja! Nie... nie zważywałem, odpowiadam jedynie na rosterki polskich monarchistów i czynię zadość obowiązkom polskiego honoru. Moja odpowiedź brzmi: Stefan Kisielewski - Królem publicystów polskich! Nazwano Cota księciem, są wszystkie powody, aby Kisielewa nazwać Królem. Więcej powiem - by Kisielewa na Króla publicystów polskich koronować. Zatem: Monarchia nie żyje - Niechaj żyje Monarcha!

O ile Królowi, by był szanowany, wystarczy być przeciętnie rozumny i uczciwy, o tyle Król publicystów musi być geniuszem, jego myśl musi chadzać w koronie. Korona w publicystyce to owoce wieloletnich wysiłków, to nagroda za pierzchnięstwo, konsekwencję i mądrość, podczas gdy korona w państwie to kredyt zaufania, otwarcie szansa pod nieobecność pewności wygranej. Król zyskuje koronę by dopiero później na nią zasztyt, publicyści zgoła odwrotnie. Każdą instytucję zabić można przez... przesadę, ufam, że z wyjątkiem monarchii publicystów.

"My wszyscy z niego" - wyrastał przed laty Mackiewicz wdzięczność Polaków dla Sienkiewicza. "My wszyscy z niego!" - myślimy i piszemy dzisiaj o naszym kandydacie na tron. Dlaczego właśnie Kisiel winien zostać Królem?

Na czym polega jego dziejowe postępowanie i jego historyczna rola, jako, że Kisiel żyjący - już jest historią?

Otóż, Stefan Kisielewski całym swoim życiem, całą swoją myślą wypowiedział na przekór polskiemu światu prawdę - iście królewską - wymagającą umysłu i iście królewskiego charakteru - która przekraczała do dzisiaj pojemność i przyzwyczajalność innych umysłów, nie wyłączając Osta. Wówczas, kiedy ją formułował, wśród na przekór logice historii, skazany na śmieszność, skreślony z ewidencji obecnych.

Kisiel jako Król to symbol, wyrasta z sentymentów, ogromnych pokleśń tęsknoty do heroizmu - bo Kisiel to wszak Klerk heroiczny, uosobienie więzi czasów współczesnych z czasami dawnymi, przeniesienie pojęcia ojcowiskiej miłości na tereny pracy publicznej - imperatyw honoru ze wszelką cenę. Kisiel nie tylko jako jedyny miał r a c j ę, Kisiel to heroa, autorytet moralny, instytucja niekiedy Kościół wielki, a przecież i n d y w i d u a l n a . Winniśmy hołd Kisielowi, trzeba dopełnić dzieła natury - Kisiel był i będzie Królem - my damy mu tylko koronę. Niech monarchistów polskich, choćby jedynie w sercu nosili sentyment do korony, niech polskich liberałów i konserwatystów, niech wszystkich, którzy podpisują się pod głównym przesłaniem Kisiele - bądź to pod jego myślą, bądź to charakter - stać będzie na ten gest szlachetny, na wdzięczność i na ukłon! Wszyscy jesteśmy jego uczniami, wiódźmy tedy na jego czcigodne czoło nasz laureowy wieniec.

Kisiel dostąpi zaszczytu jaki nie był udziałem ani Arona, ani Lippmanna. Jest w tym fakcie coś magicznego i pewna realna okoliczność. Kisiel jest wieloznaczny - to magia, Kisiel to geniusz: nie wie drząc rozumieć ada się więcej niżli jego wszechwładzacy koledzy. To samorodek, a z takimi się nie spiera o szczegóły, takich się podziwia i przyjmuje do wiadomości ich koncepcje. Kisiele nie traktowano poważnie. "To wariat" - powiedano - ale jaki wariat: Arona wszyscy brali poważnie, niektórzy, jak Sartre, oskarżali moralnie Jego wateczne poglądy - i Aron był wyklęty. Autors "Opium..." nienawidzono, choć i on w końcu stał się instytucją. Kisiele natomiast nigdy nie traktowano poważnie, dlatego też mógł sobie pozwolić na więcej i uchodziło mu to bezkarnie - brano go za kapłana, a On - jakim kogutem się okazał! Dał początek nowej prawicy, nawet nie wie, jak wielu dzisiaj przyznaje się do Niego, a jednocześnie nigdy, może poza krótkim wariacko-liberalnym okresem, nie firmował żadnego sztanu, pracował dla żadnej partii. Dlatego nie musiał staczać wojny, obyło się bez niej, zaś w bitwach mógł zwyciężyć, gdyż jego przeciwnicy nie domyślali się nawet, iż przegrali - zadufani w sobie i składając bezsilni wobec sprytnych koncepcji Kisiele.

Kisiel nie prawił komplementów swojemu narodowi, mówił prawdę - był i pozostał pierwszym i największym jej adwokatem. Kisiel stworzył elitę, Kisiel dał jej hierarchię szczebli. Elita winna mu włożyć koronę, wszak Kisiel jest największy!

A.M.

"Demokracja i amerykańskie  
podpowiedzi ustrojowe w Pol-  
sce wykluczają się ... wz-  
ajemnie"

/Jan Rem/

Już od dłuższego czasu w publicystyce Jana Ryma powtarza się motyw amerykański. Pojawia się uporczywie, zabarwiony odzieniem go-  
ryczy, a nawet żalu. Do tej pory najciekawszą egzemplifikacją po-  
glądów Ryma na temat polityki amerykańskiej stanowił jego felieton  
pt. "Idealizmy amerykańskie a Polska". Spróbuję pokrótce zestawić naj-  
ważniejsze tezy tego tekstu.

1. Waszyngton prowadzi grę z Moskwą, rozgrywając kartę polską.
2. USA popierają opozycję w Polsce.
3. Amerykanie "odrzucają" ewolucję stosunków politycznych w  
Polsce po 13 Grudnia.

Stosunki amerykańsko-polskie stanowią funkcję stosunków amery-  
kańsko-rosyjskich. Dlatego kraj nasz, z tego punktu widzenia, od-  
grywa rolę już to pomostu między mocarstwami, bądź to detonatora w  
bloku wschodnim. Gdy Ameryka realizowała detente, możliwości stoja-  
ce przed naszym krajem były ogromne. Rezygnacja z polityki taniego  
kredytu dla Wschodu, powodowana kurczeniem się kredytu na własnym  
rynku, zrodziła konieczność restrykcji. Podlegnęło to za sobą ochło-  
dzenie stosunków między Wschodem, a Zachodem, złamanie zasady detente.  
J. Rym zauważa początki polityki restrykcyjnej Waszyngtonu u schyłku  
lat siedemdziesiątych. Zaisnienie na polskiej arenie politycznej  
opozycji demokratycznej jako poważnej siły - zwróciło uwagę Waszyng-  
tonu w jej stronę. Rym pisze, że wsparcie udzielone opozycji na swój  
konkretny wyzuiar. Opozycja, demonstrując system polityczny w Polsce,  
osłabiła tym samym siłę bloku wschodniego. Dekompozycja w Układzie  
Warszawskim kosztuje wszak podatnika amerykańskiego mniej niż ko-  
nieczność intensywnych zbrojeń. Ponadto Amerykanie wyobrażają sobie,  
że opozycja polska stanie się, modelowym niejako, rozwiązaniem dla  
innych krajów Bloku. Jednym słowem, w przyszłości będzie można, dzię-  
ki odśrodkowemu ruchom w Europie Wschodniej, zrezygnować w ogóle z  
odstraszania a przynajmniej zredukować jego rolę. Dlatego też Amery-  
kanie postrzegają ewolucję po 13 grudnia jako ewidentną porażkę, do  
której formalnie nie chcą się przyznać, faktycznie poprzez realiza-  
cję programu wojen gwiazdnych, pogodzili się z nią. Na tym wyczerpu-  
ją się zasadnicze zarzuty Ryma wobec polityki polskiej Waszyngtonu.

Rym dostrzega szereg niekonsekwencji w polityce amerykańskiej  
i ze względu na ich uharakter reprezentuje stanowisko zbliżone do  
amerykańskich neokonserwatystów. Jako, że teza to zapewne kontrower-  
syjna, pozwolę sobie pokrótce wyjeźnić pozornie tkwiącą w niej sprzecz-  
ność. Po pierwsze, neokonserwatyści w USA mają "swego" prezydenta,  
który nie może wazelko wyzwoić się z tradycyjnego, wypracowanego  
w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych spojrzenia na politykę  
globalną Ameryki. W dyplomacji amerykańskiej dominuje tendencja do  
zachowania status quo. Ostoja zaś tej tendencji jest Departament Sta-  
nu, w którym neokonserwatyści posiadają znikome wpływy. Neokonserwa-  
tyści, jak Irving Kristol czy Richard Pipes są zwolennikami u n i e  
l a t e r y u m u, czyli rozpraszania potęgi amerykańskiej,  
gdy będą tego wymagały interesy Ameryki. Dlatego też optują za no-  
wym uregulowaniem stosunków z sojusznikami i przeciwnikami. Jeśli  
chodzi o tych pierwszych, neokonserwatyści twierdzą, iż należy im  
docelowo pozostawić całkowitą samodzielność. Słowem: Europa fara da  
se. Konserwatyści uważają, że dotychczasowy parasol nuklearny nad  
Europą zachodnią sdemoralizował tamtejsze społeczeństwa, odczuwają-  
ce opiekę jako ubezwłasnowolnienie, jako coś narzuczonego. Ponadto

sąsiedzi oni, że gdyby doszło do konfliktu atomowego w Europie, Ameryka nie miałaby interesu w rozciągnięciu go na cały glob. Konflikt pozostałby wewnętrzną sprawą Europy. Na zarzut, iż "nie będzie silnej Ameryki, jeśli Europa zachodnia zostanie podbita" neokonserwatyści odpowiadają, że Europejczycy mają lamentować z powodu przyszłej amerykańskiej dezercji, już dziś powinni sami zaopatrzyć się w środki konieczne do obrony. Ale Europa ani myśli o obronie, od czego ma opiekunów Wuję Sama? Po naszej stronie Atlantyku zwycięża pacyfizm. Mówią o status quo tej miary co de Gaulle, Thatcher czy Strauss należało do rzadkości.

Cóż zaś mają do powiedzenia amerykańscy neokonserwatyści tym, którzy stoją po drugiej stronie barykady. No bo jeśli panuje zgoda co do rezygnacji z upokarzających dla Ameryki prób rozmieszczenia euro-rakiet, niechcianych przez Europejczyków, czegoż można żądać od bloku wschodniego. Otóż np. Kriestol oczekuje od ZSRR przede wszystkim rywalizacji militarnej, i sądzi, że skorzystają na tym obie strony. Szczególnie zaś Wschód zmuszony będzie do racjonalizacji stosunków wewnętrznych, aby dotrzymać kroku konkurentom zza Oceanu. Dlatego neokonserwatyści amerykańscy rozstają się z wolną i misjami wewnętrzną destrukcją w bloku wschodnim. Nie są skłonni do niczego, co by wykroczało poza propagandę zasad konserwatywnych. Charakterystyczna jest tu wypowiedź J. Kirkpatricka: "...nie mamy prawa zachęcać do aktywnego oporu ludzi żyjących w totalitarnych reżimach albo będących okupowanymi przez totalitarne siły, jeśli sami nie jesteśmy skłonni aktywnie wspomagać ich w tym oporze. Mamy, jak powiedziałem, moralny obowiązek popierania ich, jeśli już zdecydowali się na stawianie - i to wydaje się mnie zupełnie inną sprawą - ale nie mamy moralnego prawa przyłączenia na siebie strasznego śmiertelnego ryzyka, od którego nie możemy ich wybawić, bo nie jesteśmy do tego przygotowani".

W tym miejscu docieramy do istoty założeń Jansa Rema wobec administracji amerykańskiej. Amerykanie, głosząc werbalnie hasła neokonserwatywne, w praktyce, w odniesieniu do Polaki popierają lewicową opozycję. Wciąż jeszcze zasadą "jeśli chcesz pogłębić swojego nieprzyjaciela, popieraj w jego domu lewicową destrukcję" stanowi wytyczna Departamentu Stanu. Piszcie Rem: "Zachwiała się nam wolna cena i wolna konkurencja. Poszerzenia udziału prywatnej przedsiębiorczości, rezerwa armii pracy itp. itd.". Tymczasem popierane przez USA opozycje zgrupowane wokół NSZZ "Solidarność", z konsekwencją godną lepszej sprawy, występuje przeciw posunięciom, które w perspektywie przybliżyłyby polską rzeczywistość do amerykańskiego ideału. Spojrzenie Rema znajduje odzwierciedlenie w przysięgach składanych przez lewicową opozycję na "wierność kolektywnej gospodarce. Lewica darzy sympatią Waszyngton za politykę restrykcji, z niechęcią zaś odnosi się do hasła z jakimi występuje prezydent Reagan. Czyli, jak można się domyślić, odwrotnie, jak dlańby tego Rem. Widzi on pozytywne strony wolnego handlu, występuje zaś przeciwko różnego rodzaju sankcjom gospodarczym. To niespodziewanie zbliża stanowiska Rema do liberalnego /neokonserwatywnego/ widzenia stosunków międzynarodowych.

Czym jest polityka polska w bieżącej koniunkturze politycznej i czym może być w przewidywanej przyszłości. Zaznaczam, że nie są to dobre redy dla rządu i opozycji, jak zachować się w sytuacji bez wyjścia. Należy moim zdaniem, grać na zwykłe. Być może w Ameryce, skutkiem powolnej ewolucji wydarzeń, dominujące znaczenie zdobędzie neokonserwatyści. Zrealizują swoje plany /ich pomysł - SDI/ i śmiejcie się, póki trwa na naszej rzeczywistość.

Może się tak zdarzyć, że w Polsce po latach monopolu lewicy na myślenie i działanie polityczne wróci pogoda dla prawicy. Powstanie miejsce na realizm i zdrowy rozsądek, owocujące przywróceniem w Polsce należnego jej w Europie miejsca. Kiedy spotkają się nurty?

## **Jeszcze jeden zasilek dzisiaj...**

W trzecim tegorocznym numerze "Tygodnika Powszechnego" ukazał się artykuł p. Jacka Mazurkiewicza p.t. "Zasilek ciążowy". Autor dokonując banalnej dość konstatacji, że w okresie ciąży wzrastają wydatki na rozmaite cele proponuje wprowadzenie zasiłku, który miałby być przyznawany wszystkim kobietom ciężarnym. Koronnym argumentem p. Mazurkiewicza na rzecz stworzenia tej nowej formy opieki społecznej jest jej rola jako czynnika zmniejszającego ilość - liczbę sztucznych poronień. Aby uniknąć nieporozumień chciałbym z góry zaznaczyć, że podobnie jak p. Mazurkiewicz również jestem przeciwnikiem przerywania ciąży ale istotę problemu widzę zupełnie inaczej niż on.

P. Mazurkiewicz pisze, zapewne słusznie, że jednym z istotnych a może najistotniejszym motywem skłaniającym kobiety do aborcji jest ich ciężkie położenie materialne. Ale jaki jest związek między tym stwierdzeniem, a propozycja poderowania ciężarnym kobietom po kilkanaście tysięcy złotych? Żydamy się, w gruncie rzeczy że łożym. W jaki sposób taki zasiłek miałby zapobiegać przerywaniu ciąży, skoro zjawisku temu nie zapobiegają takie formy opieki społecznej jak płatny urlop macierzyński, Fundusz Alimentacyjny, zasiłek z tytułu urodzenia dziecka czy tzw. wypraska dla kobiet o dochodach poniżej minimum dożywotniego. A zasiłki rodzinne, dopłaty do żłobków i przedszkoli czy wprowadzone przed paru laty płatne urlopy wychowawcze dla kobiet? Jeśli to wszystko nie pomaga, to czy pomoże dodatkowe kilkanaście tysięcy?

P. Mazurkiewicz powołuje się również na pomoc udzielaną przez Kościół. Myli jednak dwie różne sprawy. Bowiem pomoc świadczona przez Kościół, inne związki wyznaniowe, instytucje charytatywne, prywatna filantropia/ o prawo do udzielania takiej pomocy należy sądzić/ kobietom rzeczywicie potrzebującym i poszukującym wsparcia/ także psychicznego i moralnego/ nie różni się w istocie od pomocy jakiej człowiekowi udzielić może rodzina, bliscy, przyjaciele; jedynie ją zastępuje. Pomoc świadczona w indywidualnych, rzeczywistych wyjątkowych przypadkach nie może być utożsamiana z pomocą udzielaną przez państwo wszystkim osobom należącym do pewnej klasy czyli w tym wypadku wszystkim kobietom ciężarnym.

Autor artykułu pragnąc wzmocnić swą argumentację sięga do wypowiedzi kardynała Karola Wojtyły z 1974 roku, który o problemie pomocy dla kobiet ciężarnych pisał "w słowach prostych, pełnych smutku, troski i wiary w dobrą wolę nas wszystkich". Ale jego propozycje dowodzą, że słów tych zupełnie nie rozumie sądząc, iż "dobra wola nas wszystkich" to tyle samo co upaństwowiona opieka społeczna kierowana przez bezduszną biurokrację.

P. Mazurkiewicz stwierdza również, że odpowiedzialność za los ciężarnych kobiet i dzieci spoczywa "w szczególności na rządzie naszego państwa". Zasadniczą jest ta naiwna wiara w rząd. Wzruszająca ale i przerażająca zarazem. Nie pozwala bowiem dostrzec, że



im bardziej los kobiet ciężarnych i ich dzieci staje się sprawą państwa, tym mniej jest on wówczas sprawą nas wszystkich. Obywatele, z których państwo ściągło podatki, potrzebne na finansowanie opieki społecznej, coraz mniej są skłonni udzielać bezpośredniego wsparcia swoim bliźnim /zjawisko tzw. znieczulicy w tym właśnie m.in. ma swoje źródło/. Istnieje bowiem prosta zależność między zwiększeniem upaństwowionej opieki a zmniejszeniem się zainteresowania dla losu bliźniego ze strony rodziny, sąsiadów, przyjaciół i bliskich/. "niech państwo się tym zajmie"/. Następuje osłabienie więzi międzyludzkich, zanika instynkt samopomocy.

Wracając do zasiłku ciążowego to przypuszczać należy, iż sprawi on, że ciąża potraktowana zostać może jak nieszczęście, za które rząd jest obowiązany wypłacić odszkodowanie. Będąc swoistą formą ubezpieczenia na wypadek ciąży, zasiłek proponowany przez p. Mazurkiewicza stanie się dodatkowym czynnikiem osłabiającym osobistą odpowiedzialność za ład życia płciowego, przyczyniając się do upowszechnienia postawy "jakoś to będzie".

P. Mazurkiewicz pisze o kobietach młodych, bez kwalifikacji zawodowych, nie mogących liczyć na pomoc mężczyzny będącego ojcem dziecka. Skąd więc ich decyzja zajęcia w ciążę? Ano stąd, że ich życie płciowe nie jest poddane kontroli rozumu, nie jest normowane i określone przez poczucie odpowiedzialności za swoje ciało, zdrowie i przyszłe potomstwo. Czy p. Mazurkiewicz uważa, że zasiłek ciążowy ograniczy przypadkowość i bylejakosć życia płciowego, czy też zadziała we wręcz przeciwny sposób? Pytanie retoryczne. Przyjęcie przez państwo odpowiedzialności za właściwy dobór partnera nie pewno nie sprawia, że kobieta zastanowi się choć trochę zanim zwiąże się np. ze zdeprawowanym pijackim.

Zasiłek ciążowy, będąc dodatkową formą opieki spowoduje, że w jakimś zakątku podświadomości jeszcze silniej utrwali się przekonanie, że "co będzie, to będzie", że "martwić się będziemy potem". Stanie się więc dodatkowym czynnikiem osłabiającym regulatory życia płciowego oraz dyscyplinę moralną, powodując, że coraz mniej miejsca będzie dla rozważ, poczucie odpowiedzialności, ostrożności, wstrzemięźliwości. A przecież chodzi chyba o to, żeby rozpręczenie moralne mało zamiast rosnąć. A rozpręczenie to rośnie zawsze wtedy, gdy następuje coraz większa infantyilizacja społeczeństwa, czyli zwiększenie się liczby ludzi biernych, nieskorych do polegania na sobie, nieodpowiedzialnych, zdających się na łaskę państwa.

Ten sposób rozwiązywania problemów społecznych jaki proponuje p. Mazurkiewicz oznacza nic innego jak naruszenie filarów zdrowego i wolnego społeczeństwa - moralności i obywatela.

Życie człowieka w socjalizmie to droga od państwowego szpitala, w którym się rodzi, poprzez państwowy żłobek, przedszkole, szkołę i ucelnień, w których się uczy i wychowuje, państwowa fabryka lub urząd, w którym pracuje, do państwowego domu starców lub państwowego szpitala, w którym umiera.

Czy trzeba jeszcze dodatkowo upaństwiać ciążę?

P. Mazurkiewicz zamiast szukać sposobów umożliwiających nam bycie społeczeństwem wolnym i zamożnym, w którym wolni i zamożni ludzie będą mogli lepiej i skuteczniej praktykować realizację pragnienia miłości bliźniego, proponuje zwiększenie państwowej maszyny opieki społecznej, czyli wzrost władzy biurokracji marnotrawiącej nasze pieniądze i ograniczającej naszą wolność. Jego propozycja to jeszcze jeden krok w kierunku rozwinętego społeczeństwa socjalistycznego. A naturalnymi owocami takiego społeczeństwa są zjawiska demoralizacji i upadku obywatela będące główną przyczyną gnębiących nas plag.

I na koniec jeszcze dwie sprawy. P. Mazurkiewicz uważa, że należałoby przyznać kobietom w ciąży bezpłatne lekarstwa. Jest to pomysł nie tylko absurdalny, ale i szkodliwy. A to z tego powodu, że, jak wykazuje praktyka, stanowi to zwykle zachętę do kupowania czy raczej

brania lekarstw a co ze tym idzie, zwiększe prawdopodobieństwo ich zażywania w okresie, w którym kobiety powinny wszelkich lekarstw wystrzegać się jak ognia.

Drugą sprawą to stosunek innych ludzi do kobiet ciążarnych. Pragnieniem moim i p. Mazurkiewicza zapewne również, jest, aby był on serdeczny, pełen ciepła, nacechowany życzliwością.

Zauważmy jednak, iż wcale nierzadkie są przypadki, że ludzie ciesząc się specjalnymi względami spotykają się z niechęcią czy wręcz arogancją pozostałych. Wskazuje się np. na związek między objęciem opieki czarnoskórych mieszkańców USA lub imigrantów z Afryki Północnej we Francji a utrzymywaniem się uprzedzeń rasowych. Jeśli ktoś faworyzuje Żydów w ZSRR domagając się dla nich prawa do emigracji, może być pewien, że nastroje antysemickie wśród przedstawicieli innych narodowości mających ochotę również wyemigrować, wzrosną. Jaki jest najlepszy sposób na wzbudzenie niechęci do dysydentów np. p. prof. Sacharowa? Po prostu zoolekować się jego żoną pozwalając jej uciec się na leczenie na Zachód. Ziomkostwa w RFN straciły swoje popularność przede wszystkim dlatego, że rząd przyznawał im, a co gorsze również ich dzieciom, specjalną pomoc, której pozbawieni byli inni obywatele. Wiedząc o tym nie odwodziłbym się tak jak to robi p. Mazurkiewicz zaproponować kobietom w ciąży, aby brały od paktas pieniądze po to, żeby nie jeździć "pękającymi w szwach autobusami i tramwajami". Rozumiem i doceniam szlachetne intencje p. Mazurkiewicza, wątpię jednak czy realizacja jego pomysłu pociągnie ze sobą wzrost życzliwości wobec kobiet ciążarnych. Dlatego apeluję do wszystkich kobiet: "Wystrzegajcie się Mazurkiewicza!

MAURYCJ ROJSKI

Emil Dominik

## ŚWIATŁA I CIEŃ

(na marginesie polemiki wokół artykułu p. Aleksandra Popiela)

Z właściwą sobie polemiczną awersą Zenon Skargił na łamach I-go numeru "Stończyka" daje elegancką acz stanowczą odprawę G. Sam pojedynkowi znamionuje starcie myśli z emocją, koncepcji z dowozem, wiedzy z ignorancją - toteż nic dziwnego, że Skargił zwycięża przez nokaut, ratując wystawiony na próbę honor p. Popiela, a G. z ciężkimi obrażeniami zostaje przewieziony na oddział resuscytacji myśli. Już w chwilę potem zwycięzca staje na podium, ring tonie w światłach. Czyżby nie dostrzeżono cienia?

Skargił w faworze walki wyprowadził bowiem cios zgoda niestosowny, nieregulaminowy. Powiada, ni mniej, ni więcej, tylko, iż uważa "...totalitaryzm szwedzki za o k r u t n i e j s z y /podkr. moje-ED/ od pol-potyzmu dlatego, że przy istnieniu takiego systemu, jak szwedzkie welfare state, ubóstwosnowolnienie może postępować w nie-akończoność". Powód: "potworność zasady przykrywa łagodność praktyki" - istota biurokracji" z n i e w o l n i e jednostki" - oczywista w wydeniu komunizmu Khmerów, w Szwecji została wstydliwie przykryta figowym liściem dobrobytu i opieki. O ile tedy w koncentracyjnych obozach Kambodży nikt nie ma wątpliwości jaka to zniekształcająca siłą stanowi biurokrata uzbrojony w wyrefinowane narzędzie terroru, o tyle w przedszkolach, szkołach oraz domach spokojnej starości Szwecji, niewiadomi niczego: dzieci, młodzieńcy i starcy, zostają u b e z - w ł a s n o w o l n i e n i /podkr. moje-ED/ za pomocą "uporczywej

opieki aż po zgon" - znajdując w niej specjalne upodobanie i czerpiąc z niej korzyść nieodpowiedzialności. Ubezpieczawolnienie stercza im za wolność - niewola zatem" ... może postępować w nieskończoność". Komunizm pol-potowski ze względu na swą gwałtowność i krwawy charakter, choćby nie wiedzieć jak wiele pochłonął ofiar, wobec łagodnego niczym owieczka szwedzkiego państwa dobrobytu pozostanie tylko epizodem. Pol-potyzm i systemy jego podobne same przygotowują swoją śmierć, podczas gdy totalitaryzm szwedzki, ileż bardziej wyrafinowany, zbudowany na fundamentach wiekowego bogactwa, trwać może ... wieki nie. Nie sztuka zamordować, sztuka - zgładzić na śmierć! Stąd wydaje się pochodzić niezbyt fortunnie wyrażoną myśl Skargile o bardziej okrutnym /sic! / charakterze szwedzkiej wersji ubezpieczawolnienia jednostki.

Skargil, jako esencjonalista, zakłada istnienie bezwzględnej niczym Bóg Kalwina istoty rzeczy, jeśli tedy coś się zmienia, to istota tego i tak pozostaje ta sama. Z tego punktu widzenia patrzac na problem biurokracji, której istotę, nie wiadomo na jakiej podstawie, arbitralnie określa Skargil jako "zniewolenie jednostki", nie istnieją już żadne godne uwagi różnice między terrorem a zasiłkiem dla bezrobotnych. Na podobnej zasadzie, o paradoksie! Lenin, Trocki czy Kurowicki zamajstrowali na określenie istoty kapitalizmu formułę zniewolenia klasy robotniczej, a Marks "wynalazł" prawo nadwartości, że nie wspomnę o innych "czynnościach omyłkowych" wyżej wymienionych szamamonów. Dlatego właśnie z takim trudem połykan strasną niedbałą metody i ślednej precyzji, którą w inkryminowanym fragmencie zaseraował Skargil, wszak miast terminu "okrutniejszy" dużo szczęśliwiej byłoby użyć określenia, które lepiej oddawałoby sens wywodów autora i pozabawiłoby je piętna zagadkowości i niespójności - jak chociażby: "bardziej trwały" lub: "bardziej wyrafinowany". "Człowieczeństwo" posiada w języku polskim tak ścisłą konotację, że doprawdy niedorzecznością zgoda już gramatyczna, jest porywać się na udowodnienie, że setki tysięcy śmiertelnych ofiar to dużo mniej okrutnie niż miliony żywych marionetek kiedy choćby chciało się tym samym udowodnić coś zgoda niewinnego. Skargil prowadzić, jak mniemam, dystynkcje między ubezpieczawolniającym welfare state a zniewalającym pol-potyzmem, dokonuje ciekawych ewolucji wokół nieszczęśliwego równie jak błędnego pojęcia "zniewolenie jednostki".

Samo to pojęcie wydaje się zdredzać analogiczną proveniencję jak: terror pieniądza" lub "własność to kradzież" - miast pisać o zniewoleniu trzeba było Skargilowi pisać o ograniczeniu wolności jednostki. Takie dopiero podejście dotyka prawdziwego, w moim odczuciu, problemu biurokracji - problemu jej z e k r e s u, i nie zaś jak chce Skargil kwestii sensowności bądź nie, samego jej istnienia. Proponuję swemu polemiciście osłabienie kategoryczności jego tezy o zniewoleniu. Niechaj zasada brzmi następująco. Im mniej jest aparat biurokratyczny i im bardziej ograniczone jego funkcje, tym mniej jest niebezpieczeństwo ograniczenia wolności jednostki. Bez biurokracji w ogóle /zgodnie z definicją Skargile dopiero złamanie zasady biurokracji wiedzie do wolności, gdyż ta niezależnie od zakresu i funkcji sprawowanych - biurokracja, nie wolność - zawsze oznacza zniewolenie/ społeczeństwo nie da się pomyśleć, chyba w libertariańskim Raju lub anarchistycznym Piekło. Określić tak ekskluzywnie istotę biurokracji, jak robi to Skargil, znaczy zamknąć oczy na całą jej pragmatykę, pominąć kwestie jej użyteczności i celu, do którego zmierza, pozabawić się możliwości formułowania stanów pośrednich między totalnym zniewoleniem a totalną wolnością. Stąd mój apel o precyzję, wszak consequentio est mater cretio!

E.D

# Spółeczeństwo

w krótkich spoednkach

"Uważać organizację społeczną za plód logiki i rozumu byłoby skończoną niedoręcznością. Życie społeczne organizuje się naturalnie tylko przez przystosowanie nieświadomione, samorzutnie, pod bezpośrednim naciskiem potrzeb, nie zaś podług ułożonego i obmyślonego przez skupioną inteligencję planu. Żadne społeczeństwo wyższe nie powstało na modłę dyskutowanego i układanego z góry programu"

/Herbert Spencer/

Artykuł ten jest próbą analizy stanu "świadomości emerytalnej" Polaków. Jako taki ogranicza się do kilku refleksji, kilku intuicji na temat przyczyn, przejawów i środków naprawy tego stanu. Obraz polskiej świadomości oglądany z interesującego mnie tutaj punktu widzenia to przede wszystkim dziedzictwo dziesiętki lat panującej i dziesiętki lat bezkarności, lewicowej ideologii. Otóż twierdzą, i nie odkrywam Ameryki, że Polacy są narodem rzeczywiście socjalistycznym i że komuniści a przede wszystkim socjaliści polscy zrealizowali już swoje doktrynalne marzenia. Ten eksperyment się powiódł, Panowie - nie już tu po was!

Kłopot polega na tym czy życzymy sobie socjalizmu, czy odpowiedzialności /Socjalizm jaki jest każdy widzi!/. Socjalizm jako system "zniewolenia ludzi pracy realnej przez fantastów politycznych" odebrał naszemu społeczeństwu, w tym najlepszym jego przedstawicielom, inicjatywę i aktywność, pozbawił ich możliwości osiągnięcia sukcesu w majestacie prawa i skazał tym samym na demoralizację.

Dziś już tylko część naszego społeczeństwa, tak mała, że niemal niedostrzegalna, rozumie, i daje temu praktyczny wyraz, iż droga do sukcesu wiąże się z ponoszeniem ryzyka, wymaga wysokiego nakładu sił własnych - człowiek może posiadać wtedy dobro i szczęście, kiedy sam na nie zspracuje. Różnorodność i wielokierunkowość działań ludzkich to bodaj najwyższe dobro jakie niosą jednostki społeczeństwu i państwu. Wymagano wszelako dobrowolnych więzi ekonomicznych, możliwie najsilniejszego spłotu zależności interesów oraz ich gwaranta - silnego, praworządnego państwa. Ekonomia to podstawa cywilizacji niosącej ze sobą wolność. Natomiast gdy jednostki nawiązują stosunki ekonomiczne z państwem, narażają na szwank swoje interesy, praworządność państwa, a przede wszystkim hamują dobrowolne więzi ekonomiczne. Pokusa bowiem użycia przemocy ze strony państwa, swoista pragmatyka aparatu państwowego - nieuchronnie wiodą ku złamaniu wolnej konkurencji zastąpieniu ekonomii - dystrybucją i konsumpcją.

Ujemnym skutkiem ingerencji państwa jest tedy niszczenie ekonomii, której gmach, aby był okazałym, musi zostać wzniesiony na fundamentach wolności i autonomii. Osłabiona, ledwie tłaca się niczym sużyty ogarek, inicjatywność i przedsiębiorczość ludzka traci ostatecznie swoją moc - w tempie proporcjonalnym do etatyzacji państwa. Aby zilustrować powyższą tezę odwołam się do wyobraźni czytelnika. Proszę sobie wyobrazić środowisko dziewiczej przyrody, przedwną dżunglę, tajgę czy puszcę. Naturalna selekcja, konieczna w celu przetrwania i inicjatywa, zapobiegliwość tworzą doskonałą harmonię współzależności. A teraz spojrzmy na dzisiejszy wizerunek Tatr chociażby, do niedawna obfitujący w zwierzyinę, teraz zdiesiątkowaną już przez t.z.w. turystów /analogia do tzw. ekonomistów/. Społeczeństwa ludzkie są także produktem przyrody i podlegają z tego tytułu jej tj. boskim prawom. Nieskończone bogactwo kosmosu społecznego - oto prawdziwy dar Boga dla człowieka, którego logika opiera się na niehamowanym entuzjazmie i spontaniczności. Jest tak niewiele czynników, które mogą na trwałe wzbudzać entuzjazm, podsycać przedsiębiorczość - ale na pewno jednym z najważniejszych pośród nich jest w ł a s n o ś ć p r y w a t n a, gdzie człowiek warstwa dzięki swojej pracy, gdzie codziennie ogląda owoc własnej pracy i może być z tego dumny. To tak jak ów rolnik wychodzący wiosną w pole, a potem oglądający i cieszący wzrokiem dzieło swoich rąk i swego umysłu, by wreszcie zebrać nagrodę za pracę własną i własne wyrzeczenie. Człowiek żyjąc buduje swą wielkość, a wielkością człowieka jest dzieło, dorobek jego życia.

Czy może być zadowolone z siebie socjalistyczne społeczeństwo? A jakże! Czy ma powody? Nie!

Gdzież są owoce jego pracy? Nie widać dzieł, o których jednostki mogłyby powiedzieć: "To moja praca! Oto Polska - gdzie największym bohaterstwem jest wybudowanie sobie domku nie uwiecznione wrzodami na łożadku, zwałem lub siwymi włosami. Gdzie budowa tego domku jest potępiana ideologicznie, dopuszczana ze względów taktycznych /co będzie potem?/, oznacza szamotanie się z zawiścią i zazdrością ludzką oraz wazchpotętną biurokracją, zabijającą marzenia o w ł a s n y m w imię społecznej sprawiedliwości i równości. W tak rządonym państwie jednostki wlewają swą inicjatywę do gardeł, składają na szacownych tysiącach szpitalnych żółtek, zamieniają w IRCH-y i Komisje Antyspekulacyjne.

Zadajemy sobie pytanie, czy nasze społeczeństwo, pomimo swojej gadaniny antykomunistycznej, chce w rzeczywistości zmiany systemu rządzenia?

Odpowiedź brzmi: Nie!

W świetle ankiet przeprowadzonych w rządowych pismach, a także w pismach opozycyjnych n.p. w "Dziś", wiemy już aż nadto dobrze jaki jest obraz naszego społeczeństwa. Otóż: jesteśmy społeczeństwem w krótkich spodenkach! Potrzeba nam władzy niczym Matki /najlepiej kolektywnej/, potężnej i opiekuńczej, która sama na siebie bierze odpowiedzialność, a nam zapewnia przyjemność najmniejszego wyślinku. Matka zrobi za nas wszystko, pozostałe nam tylko samodzielnie załatwić nasze fizjologiczne potrzeby.

Matka nie pozwoli nam dorosnąć, raczej utrwali nas w dzieciństwie". Matka odejmie niepokój myślenia, który jest determinanta postępu, odejmie trud bytowania, który jest determinantą czynu. No... przecież mamy socjalizm! I kiedy miast Matki zacznie wychowywać nas surowy, ale sprawiedliwy Ojciec?

Opieka aż po zgon serwowana nam przez władzę od lat ... żeby tylko czterdziestu, stworzyła społeczeństwo, które okradło obywatela z jego tożsamości. A rzucone hasła: równości i sprawiedliwości społecznej przygotowały nas do tego stanu - pozwoliły w nim przemownie zagustować. Oryginalni, rzutcy ludzie, którzy wbrew wszelakim kolektywnym marzeniom, rodzą się jeszcze pod polskim niebem, ci, którzy są



bohaterami pracy cywilizacyjnej w Polsce - zostali w większości wydani na pożarcie tłumowi i biurokracji. Biurokracja i uzbrojona w mistyczne masy sprawiedliwość społeczna, są jakby pasterzem, który wyprowadził stado na pustynię w celu znalezienia jada i wody - idziemy za nim posłusznie. Nawet nie domyślamy się, że dużo rozsądniej byłoby szukać pokarmu na własną rękę, że wielokrotnilibyśmy szansę ratunku, wreszcie, że pustynia ekonomicznej inicjatywy nie jest najlepszym miejscem, gdzie należałoby szukać dóbr deficytowych.

Zachowujemy się jak tamto ogłupiałe stado: domagamy się zmiany pasterza, na pustyni i kolektywu - zamiast indywidualnego wysiłku i różnorodności. Na pustyni żaden pasterz nie pomoże! Tyrania jest chcieć osiągnąć sukces na drodze sprzecznej z naturą ludzką i prawami ekonomii.

Tedy domagamy się wolności w sferze gospodarczej, własności, różnorodności, indywidualizmu. Niech każdy z nas wzrasta dzięki własnej pracy, a zarobione pieniądze niech mu upiększają dzień następny. Umierajmy szczęśliwie patrząc na dzieło swojego życia, na to co stworzyliśmy własnymi rękami i bez pomocy państwa. Postawmy sobie za punkt honoru nie iść po najmniejszej linii oporu. Że będą trudności - to oczywiście!

Ale to my jesteśmy od tego żeby je pokonywać!

Józef Wygdyński

PS. Oczywiście nie wierzę w skuteczność takiego apelu. Oglądałem ostatnio program TV, gdzie młodzież brała udział w konkursie tańca disco. 16 młodzieńców i 1 dziewczyna. Oto obraz naszej młodzieży, czekam niecierpliwie na konkurs gotowania.



Drukowany poniżej tekst znalazł się w naszym posiadaniu dzięki splotowi rozmaitych okoliczności. Decyzję o jego publikacji poprzedziła gorąca wewnątrzredakcyjna dyskusja. Zdecydowaliśmy się go zamieścić, choć powstał, jak nam wiadomo, już dość dawno a mianowicie na przełomie lat 1984/85. Jest on naszym zdaniem świadectwem zmian, przesunięć i powstawania nowych konfiguracji w polskim życiu politycznym. W czasach, kiedy dawny ustrój od lat znajduje się w stanie ciągłego kryzysu przeżywając gospodarczą zapaść, wstrząsany erupcjami ludowego gniewu i rozpaczliwie próbując dostosować się do cywilizacyjnego przyspieszenia jakie przeżywa świat zachodni, coraz więcej przestrzeni odysakują i zdobywają stare i nowe nurty polityczne, przedstawiciele rozmaitych sił społecznych coraz pełniej i jasniej formułują swoje cele. Ludzie i całe zbiorowości powoli ale już całkiem wyraźnie odnajdują swoje miejsce na mapie politycznej. Dawne monolity rozpadały się, linie podziału, choć bardziej zagnatwane, zyskują na wyrazistości, stare symbole zainicjują się w muzealne eksponaty. Totalitarny stereotyp my - oni, władza kontra społeczeństwo ulega rozkładowi ustępując miejsca wizji bardziej pluralistycznej. Tekst Krzysztofa Bąkowskiego jest wyrazem tych procesów. Kilka słów o autorze. Od lata 1979 r. aktywny działacz "opozycji demokratycznej" we Wrocławiu, przede wszystkim jako członek Studenckiego Komitetu Solidarności. W sierpniu 1980 pełni rolę tzw. osoby współpracującej strajki przebywając na terenie zajezdni przy ulicy Grabieżyńskiej i w PaPaWagu. Po zakończeniu strajków współpracownik Biura Interwencyjnego i jeden ze współzałożycieli niezależnego ruchu studenckiego wyższych uczel-

ni Wrocławia. Jesienią 1981 r. aktywnie uczestniczy w tzw. strajku radomskim/na terenie Uniwersytetu Wrocławskiego/. Po 13 grudnia 1981 r. bierze udział w akcji strajkowej w PaPaWagu. Po rozpoczęciu strajku ukrywa się. Organizuje i kieruje akademickim ruchem oporu na uczelniach wrocławskich. Jest w tym czasie ściśle związany z niezależnym ruchem związkowym działającym w podziemiu pełniąc w nim odpowiedzialne funkcje. W marcu 1983 r. podejmuje na nowo studia polonistyczne na uniwersytecie. W styczniu 1985 r. kupuje za długie wychodzące we Wrocławiu pismo CDN, które przekształca następnie w spółkę akcyjną CDN-Koliber będącą pismem o profilu konserwatywno-liberalnym. Aresztowany 6 maja staje przed sądem i zostaje skazany na 9 miesięcy więzienia. Po pobycie w areszcie śledczym we Wrocławiu zostaje przeniesiony do Zakładu Karnego w Strzelinie. 27 listopada na rozprawie rewizyjnej Sąd Wojewódzki podwyższa mu karę do 13 miesięcy więzienia zawiązując dalsze jej odbywanie na okres 4 lat. 26 listopada Krzysztof Bąkowski wychodzi na wolność i wyjeżdża z Wrocławia.

*Krzysztof Bąkowski*

## *O betkocie, lewicy... 3x3*

©  
trzy po trzy.

W 1978 roku znajomy opowiadał mi film jaki oglądał na specjalnym pokazie w ambasadzie Chińskiej Republiki Ludowej w Warszawie. Na ekranie gruby imperialista do spółki z przedstawicielem marionetkowego rządu chińskiego pastwił się nad kobietą przykutą łańcuchami do pała. Jej ciało - popękane od ran, ubranie - brudne i w strzępach, twarz - jak z Muncha. Nagle w czasie maltretowania bezbronnej, na horyzoncie pojawiło się słońce, oślepiający blask. Oprawcy zakryli oczy dłońmi zbrojnymi w batogi i z krzykiem pierchnęli. Z podziaty wyszedł Mao i dotknął łańcuchów, które pękły z błyskiem. Kobieta patrzyła z uwielbieniem na swego wybawiciela i pozwoliła przyodziać swoje krawiarskie rany i wystające zębra w szary mundurek, skromny, ale przyzwoity, i czapkę z gwiazdą. Ciekaw jestem jakie filmy można dziś oglądać w ambasadzie chińskiej. Ale jeszcze bardziej interesuje mnie jak wyglądałyby propagandówki wyświetlane w ambasadach Odrodzonej Polski w krajach naprawdę socjalistycznych.

No cóż, nie mieliśmy już od dawna lidera, wodza jedyne go, który nie tylko mógłby porwać masy czekające na charyzmę ale który jednocześnie by im nie schlebiał; który by mówił "chodźcie ze mną" a nie "zrobię jak mi każe". Ważne nie był takim liderem a też den z oficjalnych doradców "Solidarności" nie był wolny od fascynacji tłumem na tyle, żeby nie iść z nim na zbyte daleko posunięte koncesje. "Solidarność" zagubiła się w bałaganie walk strajkowych o dyrektora, rektora, naczelnika gminy i wiele innych, równie ważnych problemów. Rzeź, która wyszła w Sierpniu została ścięta mrozem jednej nocy w Grudniu. Jeszcze miała impet, ale raptem jakby zabrakło jej kierunku, zażyła w oporze czekając na wiosnę". Na nic zdały się instrukcje na wypadek inwazji, w których radzono, żeby żołnierzom pytać się o drogę na Mezuwiecką odpowiadać chytrze "Nie panimeju". Pod zakłady podjeżdżały polskie czołgi, z polskimi chłopkami, którym przedłużono służbę o parę miesięcy. Pozwolono klasie robotniczej organizować się, uchylać na wiecach rezolucje żądające ustąpienia rządu, powrotu wojsk do koszar itd. Kiedy już

wszystko było gotowe, żeby zadać strajkiem generalnym. Generalny cios komunie - nastąpił generalski atak na wprost, przez płoty, przez zamknięte bramy, po trawnikach robionych w czynie społecznym. Skoro nie udało się czynny opór spróbowało zniszczyć komunę biernym, a kiedy nasy, nie dość jeszcze świadome, porzuciły i ten opór, zostało podziemie. Ono trwa do zwycięstwa, nie przegrało. Niedługo wezwie do ogólnonarodowego powstania warszawskiego i wtedy podniesie się całe społeczeństwo bo nie ma przecież i nie powinno być egoistycznego "ja", jest tylko "my". Działamy na podstawie mandatu pierwszych po 1939 roku demokratycznych wyborów i milczącej większości społeczeństwa. Owszem nie mamy programu, pod którym podpiszą się większość Polaków i niektórzy słabi duchem nam to wytłumają. Ale czy można dać konkretny program Polakom, kiedy wiadomo, że każdy Polak ma własną koncepcję wyjścia z kryzysu, że tam gdzie trzech niezrzeszonych Polaków tam 57 programów politycznych. Nie, oczywiście, bałaganowi - nie! Nie będzie żadnego programu - naszym zawołaniem jest Bóg, Solidarność, Niepodległość. "Solidarność" to cały naród, jednością silni jesteśmy; u nich też jest wielu takich, co chodzą po cichu do kościoła, a jak są na wakacjach na wsi czytają Solidarność Walczącą, więc też wiedzą gdzie jest Prawda. My to "Solidarność", "Solidarność" to Polska, nasz sztandar jest czerwony, katami będziemy my. Ale nie ma obawy - będziemy sprawiedliwi. Może nie mamy programu, ale mamy symbol, wokół którego skupią się serca wszystkich. Naszymi ideałami są Wolność, Równość, Braterstwo. Kiedy wywalczymy Wolność, to będziemy mieli niepodległość i uporządkujemy, odbudujemy kraj zbiorowym wysiłkiem i modlitwą, razem, będziemy mieli przecież nad nami nasz symbol, niezwykłą własność całego społeczeństwa: chorągiew naszą, która będzie żopotać nad naszymi myślami o Wskrzeszonej. Stanowimy ogromną większość, nie chcemy niczego burzyć, chcemy tylko równości, chcemy regulacji mechanizmów rozdzielu. Oto nowe światło nadziei, wstaje jutrzienka solidarności nad naszą Ojczyzną umiłowaną, nad światem całym. Czekaj nas długi mierz a po drodze niejedna samoograniczająca się rewolucja.

Razem robotnik, literat, rzemieślnik i rolnik indywidualny, w imię Boga pokieruje kadra, która przeszła najcięższą próbę poniewierki, nieprzespanych nocy w konspiracji, krwi nie poszczędzi nikt. Bo siła nasza - prawdziwej lewicy demokratycznej - w tym, że jest nas lewicy laickiej więcej. Udowodnimy to na pokojowej demonstracji, przyjdziemy i zobaczymy ilu nas. To nieprawda, że jest nas coraz mniej, nie dajmy się zwieść pozorom, prawda jest całkiem inna: ludzie są tylko ludźmi, jeszcze się trochę boją, bo to jeszcze nie ta ostatnia decydująca manifestacja pokojowa, siedzą w domach, słuchają wycia syren - suk policyjnych zamykając okna przed gazem, ale ich serca są z nami, na ulicy. Przecież i myśmy się kiedyś bali i siedzieli w domu. Teraz rozumiemy już, że nie siedzenie bierne, ale głośny protest, jawne, wspólne wystąpienie, razem bracia, równy krok, w jasną lepszą przyszłość, równi jesteśmy, równa siła, dla każdego praca, równy krok, równa odpowiedzialność. Wszyscy za jednego, kupą mości panowie, wspólna własność, wspólna odpowiedzialność, rwijmy bruki, rwijmy kraty, to nasze...

I ożemu ja się znowu tak rzucam, czepiam, za słówka żęplę? Mnie Proszę Panów przerwać ten język, ta retoryka, której pełne były przemówienia wszystkich rewolucji. Obawiam się języka lewicy, magicznego, skodyfikowanego. To nie żadna nowo-mowa, ale wzorzec jak w jedynie słusznym sposobie używać starej. To nie tylko metafory, piękne słówka, nie czepiam się Bóg wie czego. Moim zdaniem nie jest wszystko jedno i nie jest to zrozumiałe, jeśli ktoś jednym tchem krzyczy "non violence" i "bojkot" - stronienie od gestu nie jest gestem stronienia. Tam, gdzie zbyt wiele retoryki, łatwo zagubić

się w metaforach, można dosłownie przenieść się w inny wymiar, gdzie metafora jest rzeczywistością. Na początku było słowo, ale miało wrócić do Boga a nie grasować po wiecach, Panowie.

Gdy się zlikwiduje kapłana jako pośrednika pomiędzy ludem a Bogiem, to wszyscy będą władcami słowa? A przecież jedną mamy drogę, każdy z nas ma takie samo prawo do dialogu z Bogiem, w tej sprawie nie możemy iść na żaden kompromis. Każdy powie Bogu swoje, już kapłan niczego nie zniekształci. Bóg nas teraz wysłucha. Czemu milczysz Boże, przecież jesteś z nami, prawda? A może ty rozumiesz tylko po hebrajsku? Czy nie słyszysz jak Cię błaga lud, sam wiesz, że mamy rację. Jeśli nie dasz snaku, też wysłuchał, uznamy, że milczenie jest zgoda, tym lepiej, sami będziemy mówili, będziemy dzielili się słowem nowej nadziei, poniesiemy je jak chorągiew. Będzie powiewać nad naszymi zwartymi szeregi, pokażmy Bogu naszą siłę, równy krok, wspólna sprawa, wspólne Słowo, wspólna własność. Już dziś ustalmy najważniejsze: po pierwsze - idziemy razem, w jedności siłą; po drugie - mamy wspólny cel; po trzecie, - nasz cel jest słuszny, bo wspólny: nie chcemy komuny i już. Ludzie, których poglądy ewoluowały ze zwykłej zdradcy, nie mamy z nimi nic wspólnego - nie ma ewolucji - na początku było słowo. Nie chcemy komuny, tylko chcemy wiedzieć co i za ile zostało wyprodukowane, żeby każdemu podzielić według potrzeb. Sami wyprodukowaliśmy, sami podzielimy - nikt nas nie oszłabi, już nie. Nie będą okradać nas więcej czerwoni burżuazje i bracia zsa Boga. Zrobimy plan i będziemy dokładnie wiedzieli ile było czego i bilans musi wyjść na zero, inaczej pociągamy do odpowiedzialności. Nie chcemy komuny ale sprawiedliwości. Sami ja sobie weźmiemy, ujmijmy ster w nasze ręce i pokłaniamy w przyszłość bez tego całego brudu i zanieczyszczonego środowiska i partykularnych interesów. Mamy już dość marazmu i zniechęcenia, dojrzeliliśmy do czynu wielkiego. Nie będzie nad nami ładnych panów, sobie będziemy służyć, staniami się słuźcymi. A parazyty owoce, żeby nie gorczyły naszych braci, wypędzimy. A tych co nas gnębili pognąbimy; oko za oko, ząb za ząb. Z nikim nie będziemy w aliansach. Oni nas jeszcze będą prosić, ale wtedy to my powiemy - nie! Nie chcemy komuny i dlatego walczymy z cenzurą. Pokażemy naszemu wrogowi, który tylko czeka sposobności, by znów nam przyłożyć i oszukać, że jesteśmy silni, zweri i gotowi. Nie można mówić o wszytym, bo wróg to wykorzysta. Czasem należy skłamać, tak to już jest, ale można kłamać tylko wtedy, gdy chodzi o dobro ogółu. Prawda jest bronią w walce klasy robotniczej, w naszej słusznej walce z komuną. Bądźmy czujni bo i wódcę nas są agenci i próbują zadać cios w plecy. Najlepiej niech się niepewny przeżegna i krzyczy: śmierć komunizm! No i uważajmy, co czytamy. Żebyśmy nie dali się zwieść złudzeniom, żeby nie wierzyli tym, którzy mówią "świat w dalszym ciągu jest piękny". Na tę prymitywną agitkę nas nie weźmą, przecież sami wiemy, że Prawda jest inna. Bądźmy wstrzeżliwi, idźmy drogą walki. Pamiętajmy "Wujka". Nie będziemy stosować metod komunistów, zrezygnujemy z przemocy, ale niech się im nie zdaje, że to dlatego, iż jesteśmy słabi. Nikt nas nie zmusi do podania ręki premierałowi. Nigdy więcej "Wujka", pomóżmy górnikom. Już niedługo wszystko będzie nasze, wspólne, równe, więc równy krok...

I tak dalej, coraz ciemniej, coraz rewentyczniej, coraz retoryczniej, tylko jak długo jeszcze Panowie?

Czym bylibyśmy bez Powstania Listopadowego, bez Styczniowego? Bylibyśmy już dawno częścią Imperium Rosyjskiego. /Imperium gdy powstanie to tylko z naszej krwi./ Precz z Rosją; jeśli trzeba będzie jeszcze raz pójdziemy na Kijów, Bzdany, na Warszawę. "Praca legalna musi być połączona z pracą nielegalną. /.../ Partia, która nie prowadzi różnorodnej działalności nielegalnej na przekór ustawom burżuazkich parlamentów, jest partią zdradczą i tchórzą". Tak właśnie. Tek mówią największy praktyk lewicy demolewickiej - Lenin. Konspira

przygotowuje tedy wielki przewrót, który rozbije, zdruzgoce Polskę komunistów i stworzy drugą Polskę, Trzecią Rzeczpospolitą, gdzie nie będzie niesprawiedliwości i oszukiwania, będzie demokracja, ludzie będą żyli lepiej i dostatniej i będzie pełne pokrycie na kartki...

I tak zdradzają nas słowa. Parole, parole, parole. Gesty puste impotencje, więc jedyną naszą szansą jest potężny wybuch, który pochłonie ten cały brud... słowa, słowa, słowa.

Ach, Panowie, kiedy znowu zaczniemy się bawić, zamiast drapać rany. No cóż, jestem taki młody i życia jeszcze nie znam, nie pokopało mnie ono, to i bossanovy mi się chce. Jestem taki bawipanek, głupiek jakiś, co chciałby wiedzieć, jakie filmy będą wyświetlane w nowych ambasadach Samorządnej Rzeczypospolitej w krajach najbardziej demokratycznych.

K.B.

## Listy...

Szanowny Panie Redaktorze!

Błagam o litość i o zmiłowanie proszę!  
Do mojego artykułu w Stańczyku I wkradły się nader liczne błędy. Mogę zrozumieć powody, dla których miał "a rebours" nieświadoma rzecz Korekta serwuje czytelnikowi dziwne "airebours", miał "nie-sympatycznie" - "niesympatyczne", wreszcie zamiast "chcąc być szanowane ..." - "chcą być szanowane", nawet jeśli to nadałoby myślom przeze mnie wyrażanym sens zgoła zagadkowy. Wszelako niezrozumiałe pretensje literackie JW Korekty, które każą Jej przedstawiać szyk zdań w moim tekście, gwałcić jego, przyznają niesprawiedliwie kontrowersyjną dla pewnego rodzaju umysłów stylistykę - przypisując mi o ścieranie rak.

Niechaj kilka przykładów pozwoli Panu i PT Czytelnikom wyrobić sobie zdanie na temat przyczyn mojego niezadowolenia.

Pisałem bowiem, iż "widzimy tedy z jednej strony, chowanie się pod opiekunkę skrzydła rządu, z drugiej zaś, chowanie się pod miłosierne skrzydła Kościoła", dalej: pisałem o piedestałach "... zarezerwowanym dla pierwszych...", o "solidaryzmie a rebours", pisałem o rządzie: "wszak ma on przecież ...", i jeśli wywódziłem, że w interesie rządu jest "... tej inicjatywy nie zabijać", to naprawdę nie chciałem napisać "...tę inicjatywę ..."

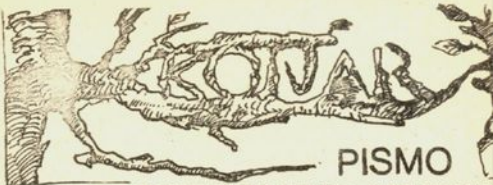
Pomny na brzytwę Ockhama, pozostaję z nadzieją na dalszą - bardziej pomyślną - współpracę.

Emil Dominik

WSZYSTKIE UWAGI P. DOMINIKI PRZYJMUJEMY Z POKORĄ  
I OBIECUJEMY POPRAWĘ.

REDAKCJA





# PISMO KONSERWATYWNO-NARODOWE

Roman RYBARSKI

POZNAN

## własność prywatna i socjalizacja

Wszystkie praktyczne wskazania programowe w gospodarstwie wiążą się ściśle z poglądem na ustrój społeczno-gospodarczy, na jego naczelną zasadę. Trzeba dokonać wyboru, jeżeli się chce prowadzić politykę gospodarczą. Istnieje wielkie bogactwo form ustrojowych, wiele przejęściowych ogniw między sprzecznymi z sobą systemami. Ale zawsze ten ustrój gospodarczy ma określoną linię rozwojową, zbliża się do jednego z dwu biegunów. Ta ewolucja nie odbywa się w sposób spontaniczny, niezależny od polityki gospodarczej. Nie ma praw ekonomicznych, które by z telatną koniecznością sprowadzały nadejście jakiegos ustroju. Dlatego też, ustalając program gospodarczy Polski, trzeba sobie uświadomić, ku czemu Polska idzie; trzeba się zdecydować, gdzie się ją chce zaprowadzić.

Te dwa bieguny, ku którym podążają poszczególne gospodarstwa narodowe, to **własność prywatna** i **socjalizacja**. Albo mamy ustrój, w którym gospodarstwo narodowe jest w swych głównych pierwiastkach kompleksem gospodarstw, prowadzonych na własny rachunek gospodarczy, w którym istnieje cena towaru, określana na rynku i zysk prywatno-gospodarczy; albo też dominujące znaczenie ma własność publiczna, cena jest określana przez przymus państwowy, poszczególne gospodarstwa prowadzi państwo na swój własny rachunek. Z punktu widzenia politycznego te ustroje mogą się przedstawiać bardzo rozmaicie. Socjalizację może urzeczywistniać zarówno wschodni despota, rządzący samowładnie jak również wschodnia dyktatura proletariatu. Własność prywatna może się łączyć zarówno z ustrojem demokratycznym, jak i z monarchią absolutną. Mogą być różne zagospodarcze cele tych ustrojów i socjalizacja może być przeprowadzana w celu osiągnięcia sprawiedliwości społecznej, lub po prostu być przejawem wojennej gospodarki. Ale ekonomista nie potrafi znaleźć innych głównych typów gospodarstwa, jak własność prywatną i socjalizację, choćby je inaczej nazywał.

O te zagadnienia można toczyć spory bez końca. Jednakże gdy mamy na myśli nie teorię, a praktyczny program, możemy w konkretnych warunkach polityczno-ekonomicznych ograniczyć

przedmiot sporu. A zarazem trzeba sprecyzować temat, o którym jest mowa.

Dla celów polemicznych bardzo często identyfikuje się ustrój oparty na własności prywatnej, z liberalizmem jako określonym poglądem na świat, ze wszystkimi jego konsekwencjami posagospodarczymi. Przecież liberalizm ekonomiczny dziś już nie istnieje. Upadł z chwilą zwycięstwa zasady protekcyjnizmu w stosunkach międzynarodowych. Bez pełnej wolności obrotu towarów, ludzi /emigracja/, kapitałów, nie ma liberalizmu. W wewnętrznych stosunkach państwo zdobyło sobie taki wpływ na życie społeczne, że o pełnym odwołaniu z tego stanowiska nie ma mowy. Ustroje, oparte na własności prywatnej, istniały na długo przed liberalizmem i nadal będą istniały. Jeżeli się każdego obrońcę własności prywatnej traktuje jako "liberała", to sprowadza się rozważanie tych zagadnień na grunt bardzo poziomy.

Możemy dalej nie podejmować sporów o pełną socjalizację; poza komunistami, nie ma ona u nas zwolenników. Nikt wchodzący w rachubę nie pragnie przeprowadzić socjalizacji rolnictwa. Radykalizm chłopski chce rozbić wielką własność, reforma rolna, najbardziej skrajna, rozproszkuje własność rolną, oddając w ręce żywołu, który indywidualnego władania uzyskanej ziemi już się nie wyrzeczy. Idea, by wyrugować kupiectwo przez spółdzielczość, jest nierealną fikcją. W praktyce dążenia do socjalizacji wytwórczości odnoszą się w tej chwili do przemysłu i organizacji wymiany pieniężno-kredytowej. Te hasła znajdują zwolenników także wśród żywołów, odlegających się od socjalizmu.

Czy upaństwowienie przemysłu przyspieszy proces kapitalizacji, podniesie siłę gospodarstwa narodowego? Mówimy: "przemysł" bez przymiotnika, chociaż niektórzy reformatorzy swój rozpęd socjalizacyjny ograniczają tylko do wielkiego przemysłu. Ale nie wydaje się możliwe, by zatrzymać socjalizację w określonym punkcie i nie pozwolić jej się rozszerzyć. Może to być bardzo ponętą kombinacją programowa: wielki przemysł, kołosy fabryczne w ręku państwa, a obok tego silny prywatny przemysł średni i drobny. Ale jeżeli państwo ujmie w swe ręce wielki przemysł, automatycznie dojdzie do likwidacji mniejszego przemysłu. Nie przewidujemy oczywiście, że od razu znikną drobni szewcy, że nie będzie prywatnych kuźni powalisk, lub warsztatów reparacyjnych dla narzędzi rolniczych. Trzeba się jednak z tym liczyć, że prywatny przemysł nie może się rozwijać obok wszechwładnego, monopolicznego przemysłu państwowego; nie wytrzyma on jego konkurencji.

Jeżeli państwo przejmie fabryki, będzie dążyło do jak największej koncentracji produkcji, przeprowadzi, by obniżyć jej koszty, racjonalizację wytwórczości. Nie może się bawić w prowadzenie licznych, mniejszych warsztatów. By wykasować rentowność swej przedsiębiorczości, usunie współzawodnictwo prywatnej produkcji. Państwowa biurokracja przemysłowa nie będzie chyba chciała tak pracować, by średnie i drobne przedsiębiorstwa odbierały jej rynek; skorzysta ze swego uprzywilejowanego stanowiska. Mając w swym ręku źródła surowców, rozporządzając kredytem, dojdzie, wcześniej czy później, do monopolu przemysłowego. O ile przemysł jest w rękach prywatnych, można popierać, przez odpowiednią politykę podatkową, przedsiębiorstwa średnie i drobne. Nie jest to możliwe w przypadku upaństwowienia wielkiego przemysłu.

O ile ktoś na co do tego wątpliwości, niechaj się przyjrzy temu, co się dzieje z warstwą średnią, żyjącą z przemysłu we Włoszech w tych działach, w których statyzacja posunęła się najdalej. Niechaj się przypatrzy temu, jaki wpływ etatyzacja kredytu wywiera na rozwój drobnego kredytu, na samodzielność i swobodę działania małych instytucji kredytowych. Z tych też powodów, uwzględniając naturalną ekspansję gospodarki państwowej, jej zachłanność, uważamy za fikcję ideę, by obok upaństwowionego wielkiego przemysłu mógł się utrzymać samodzielny, niezależny przemysł średni i drobny.

Zagadnienie ustroju naszego przemysłu należy traktować na tle faktycznego jego stanu. Otóż w tej chwili w Polsce nie jest aktualne pytanie, czy przystąpić do socjalizacji przemysłu, lecz czy dokończyć przeprowadzoną już w bardzo znacznym stopniu tę socjalizację, względnie czy od niej się odwrócić, oddając własności prywatnej to, co zabrało jej państwo. Przypomnijmy sobie stan posiadania państwa, względnie samorządów w górnictwie węglowym, naftowym, solnym, dalej w hutnictwie żelaznym, w przemyśle chemicznym. Dalej zdajmy sobie sprawę z roli państwa w tak ważnym dziale przemysłu przetwórczego, jak przemysł tekstylny. W ręku państwa są koleje żelazne, zagarnia ono również komunikację autobusową. Dąży do opanowania przemysłu drzewnego. W fabrykach państwowych można dostać różne towary codziennego użytku. A przede wszystkim statyzacja kredytu zrobiła olbrzymie postępy.

Zwolennik socjalizacji powinien powoływać się na dotychczasowe wyniki przedsiębiorczości państwowej. Jeżeli rozumuje logicznie, powinien wykazać, że etatyzacja już dała dobre rezultaty, a więc trzeba ją rozszerzyć na dalsze dziedziny. Ale chyba nikt nie zdobydzie się na taką śmiałość, by wytoczyć ten argument. Pomiijając już jaskrawe przykłady nieudolności i rozrzutności w gospodarce przedsiębiorstw publicznych, trzeba wskazać, że ta gospodarka jest zasadniczo deficytowa. Nie oprocentowuje włożonego w nią kapitału; często ten kapitał zjada, wymaga dopłat, które zwiększają ciężar podatkowy. A więc przedsiębiorstwa publiczne, w których jest ulokowany olbrzymi kapitał, nie przyspieszają procesu kapitalizacji, lecz ten proces hamują. Bezpośrednio przez swe deficyty, pośrednio przez to, że zwężają zakres i podkopują rentowność prywatnej przedsiębiorczości płaćcej podatki.

Faktom tym trudno zaprzeczyć. Ale etatysta powie od razu, że jeżeli on dojdzie do władzy, to lepiej będzie w tych przedsiębiorstwach, uniknie się błędów, uzyska się wielkie dochody, powiększy dobrobyt i t.d. Kłopotliwie można było łatwo uniknąć niejednego błędu w gospodarce przedsiębiorstw państwowych, przez lepszą kontrolę, uwzględnienie fachowości w kierownictwie, powściągnięcie dyktantyzmu. Ale niedomagania etatyzmu nie łączą się z tą lub inną grupą, z tym lub innym systemem rządzenia, a mają dwa główne źródła: najpierw wynikają organicznie z właściwości państwa jako przed-

siębiorky; a następnie łączą się specjalnie z naszą psychiką narodową, która nie uprawnia nas do tego, by gospodarkę państwową prowadzić skutecznie w bardzo szerokim zakresie.

Gospodarstwo publiczne ma zasadniczo wyższe koszty produkcji, aniżeli prywatna gospodarka, z powodu trudności jakie następuje kontrola. Prywatny przedsiębiorca pracuje na swoim, dzień i noc pilnuje swego dobra; urzędnik pracuje na cudzym. Urzędnika trzeba pilnować, tworzyć kosztowny aparat kontrolny, a mimo to nie uniknie się wielu nadużyć. Gospodarka w przedsiębiorstwie państwowym musi mieć charakter biurokratyczny, choćby się ją jak najbardziej skomercjalizowało. Istnieją działy produkcji, gdzie kontrola jest niezwykle trudna i kosztowna.

Gospodarstwo publiczne musi odznaczać się o cię-żalnością i brakiem inicjatywy. Prywatna jednostka, kierowana chęcią zysku, ryzykuje chętniej, bierze się do przedsięwzięć, na których można wszystko stracić albo wiele zarobić. Wielu przedsiębiorców prywatnych traci majątek i usuwa się z gry gospodarczej. Ale inni, tworząc nowe kombinacje produkcyjne, wymagające śmiałości, odgrywają rolę pionierów, wytyczających nowe drogi. Urzędnik państwowy lęka się odpowiedzialności, utraty stanowiska. Wie, że jeżeli mu nawet uda się zrobić coś bardzo rentownego, niewiele na tym zarobi, a gdy mu się nie uda, traci wszystko. Dlatego też stara się rozłożyć odpowiedzialność na jak największą ilość ludzi, stąd też płynie powolność działań i brak decyzji. Państwo może ostatecznie przejąć jakieś przedsiębiorstwo o ustalonych metodach działania, o zabezpieczonym zakresie zbytu, przedsiębiorstwo o charakterze statystycznym i prowadzić je jako tako po utartych torach. Ale gdy gospodarstwo narodowe wymaga dynamicznego rozpędu, zawiodą przedsiębiorstwa państwowe.

Państwo jest organizacją władzy, organizacją polityczną. Bez względu na to, jaki ustrój prawnopolityczny istnieje w danym państwie, dobór ludzi, dobór kierownictwa przedsiębiorstw państwowych będzie zawsze dokonywany mniej lub więcej pod wpływem pierwszostka politycznego. Wchodzi tu w grę albo element zaufania do ludzi, albo też po prostu potrzeba umieszczenia "swoich" na odpowiednich stanowiskach. A wówczas kwalifikacje fachowe schodzą na plan dalszy. Brak fachowości doprowadzi do upadku każde, najlepiej nawet postawione przedsiębiorstwo.

Rząd, który przeprowadza upaństwowienie przedsiębiorstw, może mieć najlepsze chęci, by one były najbardziej rentowne, by były jak najbardziej po handlowemu prowadzone. Ale fakt, że państwo jest właścicielem zarobkowego przedsiębiorstwa, nie może pozostać bez wpływu. Państwo ma szersze ogólne obowiązki. Nie może redukować personelu, chociaż nie opłaca się jego zatrudnienie w dotychczasowych rozmiarach. Nie może, bo kresztą i nie potrafi wyśyskać natychmiast nowej koniunktury w zbycie towarów. Od państwa wymaga się specjalnego wynagrodzenia pracowników; dają oni do tego, by pracując w państwowym przedsiębiorstwie, mieli stanowisko urzędników państwowych. Przedsiębiorstwo zarobkowe państwa staje się stopniowo zakładem publicznym, narzędziem polityki ekonomicznej, względnie opieki społecznej.

W tej dziedzinie można nawet przyznać pewne zalety gospodarce państwowej, z ogólnego stanowiska postawić ją wyżej od prywatnej przedsiębiorczości. Ale te wszystkie zalety mają ten sam skutek, co i wady państwowej gospodarki. Przedsiębiorczość państwowa nie tworzy bezpośrednio nowych kapitałów, ponieważ nie jest rentowna. Przedsiębiorstwa państwowe mogą przynieść dochód, ale wtedy, gdy mają monopol, to znaczy, że ich dochód płynie z opodatkowania. Ale tę wielką funkcję kapitalizacji należy zostawić przede wszystkim własności i inicjatywie prywatnej.

Nie wynika z tego, że państwo powinno zrzucić całkowicie swą przedsiębiorczość. Zresztą taki postulat byłby dziś nie-realny; kto np. kupi koleje żelazne? Istnieją działy produkcji, w których nikt nie kwestionuje potrzeby gospodarki państwowej, np. gospodarka leśna. Państwo od paru już wieków zajmuje się robotami publicznymi; w tej chwili elektryfikacja wymaga kapitałów publicznych. Gdy wchodzi w grę interes obrony kraju, nikt nie może zasadniczo podawać w wątpliwość finansowania przez państwo wojennego przemysłu. Ale w tych wszystkich przypadkach gospodarka państwowa ma swoje specjalne uzasadnienie. Działają tu z reguły względy państwowe.

Dla tych względów wiele trzeba poświęcić, zdobyć się na niejednen wysiłek finansowy. Jednak urzeczywistnić cele państwowe można wówczas, gdy spełniony jest konieczny warunek gospodarczy: gdy kapitalizacja jest dostateczna. Gdy nowy kapitał płynie szerokim strumieniem, wówczas jest z czego czerpać na gospodarkę państwa, służącą wyższym celom. Ta gospodarka, jej rozpęd, zależy od przyrostu kapitału; ten przyrost odbywa się poza ramami bezpośredniej przedsiębiorczości państwowej. A więc im większe owoce przynosi państwowe gospodarstwo, tym większa może być ekspansja państwa. Ale trzeba by był ktoś, kto spełnia tę skromną funkcję: produktywną oszczędności i gromadzenia bogactwa. Socjalizacja przemysłu zmniejszy, później nawet wysuszy owe źródła.

Ci, którzy zwracają się przeciw prywatnej własności w przemyśle, czynią to nieraz z powodów natury społecznej. Wskazują na to, że w wielkim przemyśle dochodzi do monopolizacji, a ta monopolizacja jest nieusprawiedliwionym przywilejem; że koncentracja przemysłu doprowadza do szkodliwego panowania finansowej potęgi w życiu narodu; że dzisiejsze postaci gospodarki wielkoprzemysłowej łączą się z wielu nadużyciami.

Ale czy te wszystkie niedomagania łączą się organicznie z ustrojem własności prywatnej? Istnieją nadużycia tej własności, jednakże bardzo często samo państwo je ułatwia. Nieraz wyłania się oryginalna symbioza etatyzmu z prywatnymi, wielkokapitalistycznymi monopolami. Państwo dzieli się uprawieniami gospodarczymi z uprzywilejowanymi grupami, a to wszystko dzieje się kosztem normalnego funkcjonowania własności prywatnej. Jeżeli ta własność prywatna wyrodnieje przez prywatne monopole, państwo ma sposoby temu zapobiec; może np. złać zmonopolizowaną cenę, przez przywrócenie wolnego współzawodnictwa. Ustawodawstwo handlowe może zapobiegać nie-



pożądanym postaciom konkurencji, utrudniać ekspansję anonimowego kapitału finansowego. A przeciw zwyczajnym nadużyciom jest kodeks karny, nie trzeba szukać ryzykownych środków zaradczych.

W Polsce specjalnie przytacza się jeszcze jeden argument na rzecz socjalizacji przemysłu: nasz wielki przemysł jest w bardzo silnym stopniu prywatnym. A więc trzeba by ten przemysł przejęło państwo, właśnie w imię narodowego interesu, by zabezpieczyć niezależność gospodarczą.

Że przemysł obcy w Polsce powinien stać się przemysłem polskim, że w lokatach obcego kapitału należy widzieć tylko pewne stadium w rozwoju naszego gospodarstwa, to nie może ulegać wątpliwości. Wymaga tego po lat pełnego gospodarstwa narodowego. Ale czy nie ma innego wyjścia, jak upaństwowienie przemysłu?

Jeżeli tę operację chce się przeprowadzić w szybkim tempie, potrzeba do tego wielkiej ilości kapitału, i to kapitału w obcych walutach. Nawet gdyby państwo przejęło obce przedsiębiorstwa za bezcen lub za pół darmo, będzie musiało uruchomić grube setki milionów na kapitał obrotowy. Skąd je weźmie? O ile to pieniądze są już w kraju, gdyby wielkie zapasy złota były do dyspozycji, to wtedy łatwo byłoby wykupić z rąk obcych obce przedsiębiorstwa. Ale nikt nie gromadzi takich zapasów. Otóż państwo będzie musiało pożyczyć wielkie sumy zagranicą, i to zważywszy na tło całej akcji, na gruby procent. Więc zamieni jedną postać zależności od obcego kapitału na inną, i to bodaj czy na lepszą. Wierzący państwa, przeprowadzających różne eksperymenty społeczno-gospodarcze, umiemy być dokuczliwi.

Przekonanie, że jedynym wyjściem z tej sprawy jest upaństwowienie obcego przemysłu, jest wyrazem słabej wiary w siły gospodarcze narodu. Przypuszcza się, że nie jesteśmy zdatni do tego, by przejąć i prowadzić te przedsiębiorstwa w zwykły sposób, jak to robiły inne narody, które w niższych stadiach swego rozwoju gospodarczego zadłużały się zagranicą, a potem tworzyły własny przemysł. W całym świecie toczy się ostra walka o rynki zbytu. Pozasauropajskie potęgi gospodarcze /Japonia/ wykazują ogromną prężność i ruchliwość. Kto nie wykaze zdolności zdobywczych, ten zostanie zepchnięty na bok w tej walce. Trudno przypuścić, by przemysł w rękach państwa, usuwający prywatną inicjatywę, zdobył się na dostateczną siłę obronną i ofensywną, by ten przemysł miał koszty produkcji ułatwiające współzawodnictwo, by wykazał zalety pionierskie w gospodarstwie światowym. Właśnie interes narodowy wymaga innego przemysłu.

Wysuwając na czoło zasadę prywatnej własności przeciw socjalizacji, nie kierujemy się jakąś doktryną, oderwaną od życia, lecz praktycznym doświadczeniem własnym i cudzym. Nie twierdzimy, że ten ustrój jest możliwie najlepszy. Ale w rzeczywistości nie ma idealnych ustrojów; trzeba wybierać taki, który w danych warunkach ma mniejsze wady. Próby urzeczywistnienia idealnego ustroju doprowadziły nieraz już do zniesienia podstaw gospodarstwa i do krwawych przewrotów społecznych. Przypatrzmy się temu, jak ostrożnie narodowo-socjalistyczny Niemcy postępują z wielkim przemysłem, wbrew poprzednim zapowiedziom. Położenie międzynarodowe,

względ na obronność kraju, nie pozwalają nam na reformy, które mogą podkopać siłę wytwórczą kraju, zanim na nowych podstawach zbuduje się tę siłę.

Socjalizacja nie jest zdołna w naszych warunkach do pomnożenia kapitalizacji; upaństwowienie przemysłu powiększyłoby pauperyzację. Socjalizacja wielkiego przemysłu prowadzi autorytarycznie do opanowania przez państwo całego przemysłu, do zniszczenia warstwy średniej. Nie wzmoże potęgi narodu ustrój, w którym po jednej stronie będzie państwo-pracodawca, a po drugiej miliony jego najemników. Ustrój własności prywatnej, mimo swych wad, mimo nadużyć, którym należy zapobiegać, stosunkowo najlepiej może zabezpieczyć to, czego nam najbardziej brakuje: tworzenie nowego kapitału.

Roman RYBARSKI

+++++  
Powyższy fragment stanowi rozdział III  
pracy Romana RYBARSKIEGO zatytułowanej  
"Program gospodarczy", wydanej w 1937 roku  
w Warszawie.

Redakcja ograniczyła się do uwspółcześnienia pisowni, wszystkie podkreślenia  
w tekście pochodzą od Autora.  
+++++

# idea walki klas

(fragmenty)

**1** Z mocną krytyką liberalizmu, zwłaszcza o ile chodzi o dziedzinę ekonomiczną, wystąpił socjalizm. Atakował on zarówno praktyczny program liberalny, jak i zasadniczy jego punkt wyjścia. Wielu pisarzy socjalistycznych zwalczało fikcję praw jednostki, występowało przeciw prawom naturalnym, obowiązującym bez względu na czas i miejsce, kazało się liczyć z faktycznym przebiegiem zjawisk historycznych, z następstwami warunków rozwoju społecznego w danej epoce. Historia w ich oczach, to historia walki klas. Klasa jest podstawową formacją historyczną; w szczególności obecnie, w okresie rozkwitu kapitalizmu, rozrost klasy robotniczej doprowadzi do tego, że ona obejmie władzę i przejmie środki produkcji. Socjalizm, tak zw. "naukowy", głosił, że "wywłaszczenie wywłaszczycieli" jest nieuchronną koniecznością dziejową; że uspołecznienie środków produkcji położy kres dzisiejszej anarchii, dzisiejszemu wyzyskowi, wprowadzi stałość i równowagę w stosunki społeczne.

Przeciwieństwo liberalizmu i socjalizmu na terenie ekonomicznym jest oczywiste. Chodzi więc o to, czy przewidywania socjalizmu sprawdziły się, czy rozwój społeczeństw idzie w kierunku wskazanym przez Marksa. Bo gdyby ustrój, przez niego przewidywany, miał się urzeczywistnić, to zmieniłaby się nie tylko organizacja produkcji, lecz także cała organizacja społeczeństw, cała ich psychika. Ale z jeszcze jednego powodu musi nas zainteresować socjalizm. Chodzi o to, czy socjalizm naprawdę wniósł w życie pogląd na świat, istotnie przeciwstawny ideom XVIII stulecia. Czy we wszystkich dziedzinach był on przeciwieństwem indywidualizmu, jak był nim w sferze ekonomicznej? Socjalizm pretendował do tego, że jest nie tylko nową nauką ekonomiczną polityczną, lecz że wnosi w życie nową filozofię życiową, nową etykę, że gruntownie przeobraża życie polityczne. Gdyby istotnie tak było, to, uwzględniając wielki wpływ socjalizmu, trzeba by uznać wiek XIX za mniej jednolity w swoich duchowych tendencjach, niżeli to wynika z dotychczasowych rozważań. Należałoby się wówczas zastanawiać szczególnie nad tym, jakie nowe wartości wnosi socjalizm w życie moralno-religijne społeczeństw, w życie polityczne, w ukształtowanie się stosunków prywatnych. Zobaczymy jednak, że nasze zadanie w tej dziedzinie jest mniej skomplikowane, niżby się to na pozór mogło wydawać. Ale najpierw przypatrzmy się naszym założeniom socjalizmu i faktycznemu ich urzeczywistnieniu.

**2** Nie możemy się tu zajmować socjalizmem w różnych jego postaciach i odgałęzieniach. Wystarczy skupić naszą uwagę na klasycznym jego sformułowaniu, dokonanym przez Marksa i Engelsa w "Manifestie komunistycznym". Jest to w zawiązku wykład tak zw. socjalizmu naukowego, a zarazem katechizm wiary, którą przejęły się miliony. Socjalizm w tej właśnie postaci miał wielką siłę życiową /.../

Mamy więc trzy zasadnicze twierdzenia, dotyczące także i przyszłości:

1/ Walka dwóch klas społecznych, proletariatu i burżuazji, musi się coraz bardziej zaostrzać, gdyż posiękna się dzieląca je przepaść.

2/ Około tej walki obraca się cały rozwój dziejowy, gdyż wszelkie inne antagonizmy tracą swoje znaczenie. I szczególnie słabnie znaczenie przeciwieństw narodowych, walka proletariatu z burżuazją ma charakter międzynarodowy.

3/ Walka ta z konieczności dziejowej ma charakter rewolucyjny i na drodze gwałtownego przewrotu doprowadzi do zwycięstwa proletariatu.

Te poglądy głosiły po całym świecie legiony wyznawców, wokół nich skupiał się długo ruch socjalistyczny, dopóki nie zaczął się ich stopniowo wyrażać, pod wpływem faktów i życiowych konieczności. Zadajmy sobie pytanie, jaki był rzeczywisty przebieg wydarzeń, co w związku z tym stało się z socjalizmem. Nie potrzebujemy tutaj, na poparcie naszych twierdzeń, przedstawić bardzo szczegółowego materiału dowodowego. Łatwo go znaleźć i to nawet u pisarzy socjalistycznych, którzy dawno teorie i wierzenia poddawali gruntownej rewizji.

Klasę społeczną można rozmaicie określać: albo jako wspólność wielkiej masy ludności, opartą o podobieństwo wysokości dochodu, w ogóle położenia ekonomicznego i związaną z tym wspólność stopy życiowej, albo też jako wspólność, wywołaną przez spełnienie tej samej funkcji w organizmie produkcji /np. stosunek najemny/. Czy zastosujemy jedno, czy drugie kryterium, nie uzyskamy tak prostego i jawnego podziału społeczeństw, jak to sobie Marks wyobrażał. Obiektywna obserwacja faktów nie pozwoli nam zadowolić się stwierdzeniem, że istnieją tylko dwie wyraźne, ostro zarysowane klasy społeczne: burżuazja i proletariatus. Te dwa pojęcia mogą mieć zastosowanie raczej jako ośrodki krystalizacyjne, jako dwa bieguny, między którymi jest wiele stopni, wiele ogniw przejściowych. I miarę, jak rozwija się życie gospodarcze, w miarę postępów kapitalizmu, komplikuje się coraz bardziej podział społeczeństwa na klasy społeczne, dawne klasy zatracają swoją jednolitość.

Najpierw, wbrew przewidywaniom, nie zanikły warstwy średnie. Koncentracja produkcji nie wszędzie postąpiła z równym stopniem. Nawet w przemyśle rzemieślniczym i rolnych przemyślach objawia odporność. W rolnictwie następuje stopniowy zanik wielkiej własności, w handlu nie zdołali się utrwalic i rozszerzyć przedsiębiorstwa wielkokapitałowe. Powstaje cały szereg zawodów, grup społecznych, których nie można zaliczyć ani do kapitalistów, ani do proletariatus, a które mają świadomość swojej odrębności, swoich własnych interesów i są ważnym czynnikiem w życiu społecznym i politycznym.

A następnie "proletariat" jest czymś innym, niż to sobie można wyobrazić na podstawie planu Marksa i Engelsa: nie jest warstwą, której rędna się zwiększa, która przedstawia jakąś jednorodną masę, objętą duchem rewolucyjnym. Warstwa robotnicza podlega znacznemu zróżnicowaniu. Powstaje tak zw. "arystokracja robotnicza", korzystająca z wyższych płac, gotowa do obrony zdobytego stanowiska, nawet goty się zbliżyć do swego przeciwnika, z którym jest w tej samej warstwie. Między solidarnością zawodową jest mocniejsza od solidarności klasowej. Zaznaczają się wśród robotników różnice temperamentalne, metod działania, a także i znaczne różnice stopy życiowej. I związku z tym pozostaje także nierówny rozwój świadomości klasowej. I rzecz ogromnie charakterystyczna: największy roz-

wój tej świadomości jest w kraju, w którym kapitalizm osiągnął największy rozkwit, mianowicie w Stanach Zjednoczonych. Równocześnie do tego kraju najmniej może mieć zastosowania obraz zgłodniałego proletariusa, który można sobie odtworzyć na podstawie pism socjalistycznych.

Ruch robotniczy wytwarza różne instytucje, które robotnicy wysoko sobie cenią: związki zawodowe z ich funduszami, towarzystwa współdzielcze itd. Postępy ustawodawstwa społecznego powołują do życia urzędnika, których robotnik gotów jest bronić. Ostatecznie przywiązuje się on do państwa, które wypłaca mu skromną nawet rentę, choćby to było państwo burżuazyjne. Na tym nie koniec. Robotnik objawia duże przywiązanie do własności prywatnej. Marzy o nabyciu własnego domku, i to marzenie w niektórych krajach w dość znacznym stopniu może urzeczywistnić. Lokuje swoje oszczędności w kasach drobnego kredytu, nabywa także, /np. w Stanach Zjednoczonych/, na dość znaczną skalę, papiery dywidendowe. Jeździ własnym automobilem, gra na giełdzie, jak zupełnie pospolity "burżuaz". Gdy przed paru laty urządzono w Szwajcarii referendum w sprawie projektu podatku majątkowego, niezbyt zresztą radykalnego, to okazało się, że przeciw temu projektowi głosowała część wyborców, którzy poprzednio oddali głosy na kandydatów socjalistycznych.

Oczywiście, nie wszystkim robotnikom dzieje się dobrze. Ale ten właśnie fakt podrywa jednolitość warstwy robotniczej, jest podstawą zjawiska, że ona także i w swojej politycznej organizacji przestaje być jednolita; wystarczy wskazać na walkę dzisiejszego socjalizmu z komunizmem. Źródłem komunizmu na Zachodzie nie są wyłącznie tylko pieniądze Moskwy, lecz między innymi i różnice społeczno-gospodarcze między robotnikami. Część ich zatracca swój ostry stosunek do dzisiejszego ustroju, nie ma bojowego temperamentu, objawia burżuazyjne skłonności, z czym walczyć chcą żywioły rewolucyjne, występujące niekiedy w imię piątego stanu, który wyrasta ze stanu czwartego. Ostatecznie, jak stwierdza K. Michels, pisarz o bardzo radykalnych tendencjach: "Biorąc indywidualnie, każdy poszczególny członek klasy robotniczej żyje nadzieją, że wejdzie do wyższej klasy społecznej, która mu zabezpieczy byt lepszy, bardziej wolny od trosk. Wejście do drobnej burżuazji stanowi więc ostateczny cel robotnika" /. A wielu, bardzo wielu robotników, a zwłaszcza ich przywódców - nie czeka na jakieś nadzwyczajne przewroty, by ten cel urzeczywistnić..../

4. Gdy socjalizm musiał się pogodzić z faktem, że rozwój klasy robotniczej i w ogóle układ klas w społeczeństwie nie poszedł w kierunku wskazanym przez Marksa, gdy musiał wchodzić w kompromisy z poczuciem narodowym i narodową solidarnością, a nie zbliżała się zapowiadana katastrofa, stawał się coraz mniej rewolucyjny, a coraz więcej wierzył w stopniową poprawę położenia robotniczego jeszcze w dzisiejszym ustroju; musiał dojść do zdania: "ruch jest wszystkim, cel jest niczym". Stopniowo zbliżał się do burżuazji, wchodził z nią, z jej stronnictwami w różne kompromisy. Upojony tryumfami na gruncie wyborów parlamentarnych, dość rychło doszedł do wniosku, że niepodobna jest stać na gruncie zasadniczej, bezwzględnej opozycji. Albowiem rychło mógł stracić te miliony głosów, które padały na jego kandydatów: wyborcy głosowali na socjalistów, oczekując natychmiastowych korzyści, licząc na konkretne wyniki akcji socjalistycznej w parlamentach. W ten sposób socjaliści zaczynają najpierw głosować za budżetem,



następnie zaczynają wysyłać swoich przedstawicieli do rządu. Obecnie kooperacja stronnictw socjalistycznych z burżuazyjnymi jest zjawiskiem normalnym, o które przestano już się spierać na kongresach socjalistycznych. W Niemczech socjaliści mniej więcej stale współdziałają z katolickim centrum, we Francji pozostają w bloku z radykalnymi republikanami, których radykalizm nie przejawia się jednak zbyt silnie w dziedzinie społeczno-ekonomicznej. We Włoszech stanowią jeden blok opozycyjny z całym szeregiem innych stronnictw mieszczańskich przeciw faszystowski, i to samo współdziałanie przejawia się i w innych krajach. Przyszycano się już w Europie do tego, że socjaliści lubią jeszcze w dzisiejszym ustroju wchodzić do rządu.

A nie uzyskują bynajmniej w zamian za to na ogół jakichś nadzwyczajnych ustępstw na rzecz swoich postulatów. O realizowaniu kolektywizmu w drodze parlamentarnej mało się mówi. Sądowała się oni raczej tym, że rząd przeprowadzi tę lub inną reformę, godzącą się ze zwyczajnym etetyzmem. Przeważnie jednak socjalizm w obecnej chwili, wchodząc do rządu, zajmuje raczej obronną stanowisko: chodzi mu o to, by przeszkodzić rządowi "reakcyjnym", rządowi stronnictw prawicowych. I to mu wystarcza. A gdy się nawet zdarzy, że zajmie on w rządzie stanowisko kierownicze, jak np. w pierwszych latach po wojnie w Niemczech, albo w r. 1924 w Anglii / w tym wypadku chodzi tu zresztą o Labour Party, której niepodobna identyfikować z socjalizmem /, to próby "socjalizacji" kończą się nieszczerliwie, albo też socjalizm nie usiłuje nawet urzeczywistnić swojego programu; rządzi tak, jak zwyczajny rząd drobnej burżuazji. I w ten sposób zatracą się różnica między socjalizmem a stronnictwami burżuazyjnymi. Podobnie jak w dziedziny nie układu klas nie możemy wyznaczyć wyraźnie, gdzie kończy się jedna klasa, a zaczyna druga, tak i obserwując współczesne życie polityczne, nie możemy określić granicy między socjalizmem a niesocjalizmem, tym bardziej, że ruch socjalistyczny, nie jest jednolity, że wciąż z siebie wydziela nowe ugrupowania, które albo idą na prawo, albo na lewo - a walki między sąsiadami i dawnymi towarzyszami są nieraz bardzo ostre.

To rozbieżne jednolitości ruchu socjalistycznego było widoczne już przed wojną. W r. 1911 napisał włoski filozof, Benedetto Croce, żywiołowy zresztą krytyk socjalizmu: "socjalizm umarł". Inny pisarz, już przez nas cytowany, tłumaczony zresztą przez socjalistów, Werner Sombart, zatytułował rozdział swojej książki o socjalizmie, poświęcony ruchowi socjalistycznemu po wojnie, w sposób bardzo charakterystyczny: "Der Zerfall" /rozkład/. W rozdziale tym zajmuje się Sombart "chaosem", który występuje w socjalizmie i wyjaśnia, na czym polega ów rozkład: "Zatytułowałem ten rozdział słowami: der Zerfall - mianowicie dawnego, marksowskiego, międzynarodowego, socjalistycznego ruchu, który, jak widzieliśmy, osiągnął swój punkt najwyższy i rozkwit w II międzynarodowej w ciągu dwóch dziesięcioleci lat przed wojną. Myślę, że przedstawienie dotychczasowego przebiegu ruchu społecznego od roku 1914 dało dowód słuszności mojego pojmowania, że mianowicie od tej daty zachodzi rozkład niegdyś kwitnącego tworu" <sup>2</sup>/. A głównym faktem jest ten, że nie ma jednego ruchu socjalistycznego, ale jest wszędzie socjalizm, czasami różne socjalizmy, a przeciw nim bolszewizm.

Ala nie zajmujemy się szczegółami. W tej chwili chodzi nam o konsekwencje powyższych faktów. Jeżeli socjalizm się rozcinuje, jeżeli wchodzi w kompromisy z dzisiejszym ustrojem, z burżuazyjnymi stronnictwami i staje w jednym szeregu z nimi,

to niepodobna już widzieć w nim zupełnie samodzielnej siły duchowej, ostro przeciwstawnej burżuazyjnemu światu. Tym samym jego idee nie mogą mieć tej co dawniej, siły bojowej. Paradują groźnie socjalistyczne sztandary po ulicach w dniu 1 maja, ale związa się je w parlamentach i ministerialnych gabinetach.

Wielu pisarzy zastanawiało się nad tym, czemu stronnictwa socjalistyczne, a zwłaszcza ich przyródcy, tak łatwo wsiąkają w burżuazję, czemu tak poddają się wpływowi parlamentarnego otoczenia. Żywioły rewolucyjne widzą w tym po prostu zwyczajną chęć zrobienia kariery, oportunizm życiowy, działanie bakcyla: morbus ministerialis acutus. Ten zwrot polemiczny nie trafia w sedno rzeczy. Łatwa asymilacja socjalistów przez burżuazję tłumaczy się większą duchową wspólnością między socjalizmem i liberalną burżuazją, niżby się to wydawać mogło wedle pozorów. Zobaczymy zaraz, że pod bardzo wielu względami przeciwstawianie idei, ożywiających socjalizm, ideom, które władzały w XIX wieku, a jak wiemy pochodzą z XVIII stulecia, jest iluzoryczne i powierzchowne.

**5** Powyższe ostre przeciwstawienie wyrosło pod wpływem Marksa. Jest ono zrozumiałą konsekwencją materialistycznego pojmowania dziejów. Jeżeli wszelka "ideologia" jest tylko nadbudową, tylko odbiciem układu sił produkcyjnych, to w ustroju, w którym istnieje zasadnicze przeciwieństwo klasy burżuazji i klasy proletariatu, muszą istnieć dwie zupełnie odrębne ideologie: panująca religia, pojęcie moralne, ustroj małżeństwa, państwo - to wszystko jest odbiciem interesów burżuazji, a zaś proletariatus nie może mieć nic z tym wspólnego. Świadomość klasowa proletariatu musi doprowadzić do zerwania z panującymi instytucjami i ideami, które są ich odbiciem. Socjalizm jest nową nauką, która nic wspólnego nie ma z nauką burżuazyjną. Burżuazja próbuje tumanie proletariatus swoimi idealami, ale on je odrzuca. Jego świadomość we wszystkich dziedzinach będzie odbiciem już powstającego nowego ustroju, opartego na kolektywnej własności środków produkcji.

Rzecz została postawiona zupełnie wyraźnie. Dołączyli się do tego właściwości duchowe Marksa, które tak silny wpływ wywarły na jego uczniów: jego pogarda i nienawiść dla wszystkiego, co przed nim było, jego inwektywy przeciw burżuazyjnym pisarzom i burżuazyjnym ideom.

Spróbujmy jednak na chwilę zapomnieć o przeciwieństwie pomiędzy prywatną własnością a własnością kolektywną, a przekonamy się, że w gruncie rzeczy "ideologia" socjalistyczna jest bardzo pokrewna ideologii burżuazyjnej, że i socjalizm pozostał wierny zasadniczym ideom XVIII wieku. Socjalizm należy do tej samej rodziny duchowej: jest dzieckiem niesformnym, które by chciało zabrać to, co mają inni, ale poza tym ma przekonania, przesady, nadzieje i tradycje właściwe całej rodzinie.

Łączy tę rodzinę kult jednego z "bóstw" XIX wieku /jak się wyraża Pareto/ - nauki. Socjalizm to nauka. "Socjalizm jest - pisze A. Bebel - nauką, zastosowaną do wszystkich dziedzin ludzkiej działalności, z jasną świadomością i pełnym poznaniem". Wiedza to potęga - głosiły na wszystkie strony broszurki socjalistyczne. "Związek proletariatu i nauki - pisał Lassalle - zdusi w swych spłótnionych ramionach wszystkie przeszkody cywilizacji". Oczywiście, gdy ustroj dzisiejszy jest słaby, to nie ma mowy o pełnym rozkwicie nauki. Ale co dopiero będzie w ustroju przyszłym! Nauka się demokratyzuje, stanie się wówczas dostępną dla wszystkich, a równocześnie

podnieście się nieskychanie poziom naukowy społeczeństwa. Według zapewnien Bebla, ustroj przyszły stworzy dopiero pełne podstawy do rozwoju nauki. "Przyszłe społeczeństwo będzie posiadało uczonych i artystów w niezliczonej masie, ale każdy z nich będzie pracował przez część dnia fizycznie, a w pozostałym czasie będzie się oddawał według upodobania: swoim studiom, sztuce i życiu towarzyskiemu" <sup>3</sup>/. Jeszcze więcej obiecuje L. Trocki: "Człowiek będzie bez porównania noćniejszy, nadziej-  
szy, wolniejszy. Jego ciało - bardziej harmonijne; jego ruchy -  
- bardziej rytmiczne; jego głos - bardziej muzyczny; formy  
jego bytu wskazują na dynamiczną teatralność. Człowiek prze-  
ciężny podnieśnie się do poziomu Arystotelesa, Goethego, <sup>4</sup>Marksa.  
Ponad ten tron górski winną się nowe wierzchołki" <sup>5</sup>/.  
I takie błazeństwa ogłasza się jeszcze i teraz, po próbie  
rządów bolszewickich w Rosji!

Mamy tu więc naiwną wiarę we wszechmoc nauki, w nieogra-  
niony postęp ludzkości pod jej wpływem. Duch Condorceta  
błąka się między socjalistami. Ta wiara ze specjalnych powo-  
dów była potrzebna socjalizmowi. Chodziło o to, by wykazać,  
że w przyszłym ustroju nie będzie trudności produkcyjnych, że  
wszystkie potrzeby ludzkie będą w pełni zaspokojone. Przeciwni  
socjalizmowi wskazują na to, że nawet w razie upieczeni-  
nia środków produkcji nie można osiągnąć tego idealnego sta-  
nu, gdyż zbyt wielu będzie kandydatów do poznaia. I w jaki  
sposób można tu obiecywać, że ludzie nie będą potrzebowali  
pracować więcej niż 5, 4 a nawet tylko dwie godziny dziennie?  
Wtedy zjawia się Deux ex machina: nauka, na podstawie której  
uniknie się wielu niepotrzebnych czynności, która zorganizuje  
racjonalnie produkcję, a przede wszystkim ta nauka dokona tak  
wspaniałych odkryć, że praca ludzka stanie się wielokrotnie wy-  
dajniejsza. Wiadom, że socjalizm nie wypowiedział tutaj nic no-  
wego: podobne poglądy głosili już przedtem i inni racjonalis-  
ci, niektórzy wielcy uczeni wypowiadali je z równą naiwnością,  
jak i socjaliści sami marzyli.

Kult nauki ma swoją konsekwencję negatywną, która zazna-  
cza się również mocno i w socjalizmie: wrogi stosunek do reli-  
gii. Socjalizm ze względów taktycznych głosi, że religia jest  
ręką przywiązaną, nie zajmując się oficjalnie zapatrywaniami  
religijnymi swoich członków. Ale twórcy socjalizmu naukowego  
nie byli tak wstrętnieściwi: uważali oni, że religia to "opium  
ludu", że nauka przepędzi religię za dziesiątą górę, że reli-  
gia to pozostałość, to przątek dawnego ustroju. Naiwny ma-  
terializm a la Manner miał w socjalizmie swoich najzwzięt-  
szych popularyzatorów. Wielu socjalistów zajmowało się z za-  
miłowaniem propagowaniem ateizmu, brało czynny udział w ruchu  
"wolnomyślicielskim", jakkolwiek ten ruch nie był organizowa-  
ny przez socjalizm.

Przybliżmy sobie te czasy, gdy wśród naszej młodzieży  
kwitła propaganda socjalistyczna. Obok Marksa, Engelsa i in-  
nych pisarzy socjalistycznych, poczesne miejsce w aeropagu  
wielkości, przez socjalizm wielbionych, zajmowali inni pisa-  
rze: Darwin, jakkolwiek był z przekonaniem konserwatystą;  
Spencer, mimo swej niechęci do rządów ludowych; August Comte,  
wielbiciel średniowiecza i hierarchicznego ustroju; Renan,  
mimo swego sceptycyzmu i rojalistycznych skłonności. Nie  
mówiło się oczywiście o tych zapatrywaniach wspomnianych pi-  
sarzy, lecz podkreślało się tylko, że reprezentują oni te po-  
glądy, sprzeczne z przyjętą religią, że są przedstawicielami  
prawdziwej nauki i "postępu". A umysłach młodocianych czytel-  
ników tych autorów powstawał straszny chaos. Czasami tracił

na tym Marks, tracił socjalizm. Wychowywano raczej osobistych nieprzyjaciół Pana Boga, co zresztą godziło się najzupełniej z burżuazyjną karierą tych wychowanków socjalizmu. I dzisiaj jeszcze niektórzy nasi socjaliści więcej są przejęci Weilerem, niż Marksem. Prawda, że, jak już wiemy, socjalizm narzeka z drogi bezwzględnie wrogiej religijności, ale ten zwrot w socjalizmie nie jest samodzielny: daje się on porwać odpływającej fali racjonalizmu, zachodzą w nim te same przeobrażenia, które zachodzą i wśród burżuazji.

**6** Równie wyraźnie zależność duchowa socjalizmu od idei XVIII wieku występuje w sferze jego stosunku do ustroju politycznego. Socjalizm wierzy równie silnie, jak wierzyła rewolucja francuska, w cudowną moc instytucji przeobrażających społeczeństwa. Jest dzisiaj zatartym bojownikiem doktryny demokratycznej. Nie pomieści się w głowie socjalistom, by rzeczą słuszną było ograniczenie prawa wyborczego. Socjalizm nie raz wypowiadał postulat, by urzędnicy byli wybieralni. Wierzy w granice rzeczy w prawa człowieka, w mądrość i dobroć natury ludzkiej, jest przeciwny tradycjom, wszelkie instytucje polityczne chciałby uzależnić od każdorazowej woli jednostek. Referendum ludowe, plebiscyty, proporcjonalne głosowanie - to wszystko ma w socjalizmie gorących wyznawców i obrońców. Jakkolwiek materializm ekonomiczny powinien uszyć posnego relatywizmu, powinien utrzymywać przekonanie o względności instytucji politycznych, ich zależności od stopnia rozwoju ekonomicznego społeczeństwa, to mimo to socjalizm w praktyce w dzisiejsze polityczne operuje tak samo abstrakcją, jak ludzie XVIII wieku. Pod tym względem nie ma żadnej różnicy między burżuazyjnym bojownikiem praw jednostki, a socjalistą - chyba tylko ta, że ten stawia problemy bardziej jeszcze absolutnie, jego uniwersalizm nie ma granic.

A poglądy na życie moralne, na rodzinę i małżeństwo? Czasami mówi się o "etyce socjalizmu". Nawet próbowano sformułować taką etykę. Ale gdy się czyta te traktaty, to widzi się, że ta etyka jest na wskroś przejęta indywidualistycznym, racjonalistycznym duchem. Styka ta kate szukać szczęścia na ziemi, wyzwała jednostkę z węzłów, które ją kępowały, egualtuje prawa jednostki. Neomaltuzjanizm ma, jak wiadomo, wśród socjalistów wielu poplecuchów. Socjalizm walczy o rozwiązanie małżeństwa, walczy w ogóle z tą instytucją w dzisiejszej jej postaci, jako z instytucją burżuazyjną. I trudno znaleźć lepszą tego ilustrację, jak poglądy Augusta Bebla, zawarte w książce "Kobieta i socjalizm", w książce, która miała tak kolosalny popyt i tak ogromny wpływ wywiera.

Przed wszystkim Bebel bardzo surowo ocenia dzisiejsze małżeństwo. Przedstawiając obraz zepsucia burżuazji, pisze w ten sposób: "I pytamy się, czy takie małżeństwo... nie jest gorsze od prostytucji? Prostytucja na przynajmniej często doznaje wycofać się ze swojego wstępnego rzemiosła i na prawo, o ile nie żyje w domu publicznym, odmówić sprzedawania się temu, kto jej nie odpowiadają z jakiegokolwiek powodów. Ale sprzedana znowa musi poddać się uściskom swego męża, nawet gdy za to powodów, by go nienawidzić i czuć wstyd do niego". Charakterystyczny jest punkt wyjścia Bebla: widzi on w burżuazyjnym małżeństwie przede wszystkim skrupowanie swobodnej woli jednostek, zniszczenie woli małżonki. Wykazuje dalej Bebel, że dzisiejszy ustroj prowadzi do prostytucji: "Prostytucja staje się konieczną społeczną instytucją mieszczańskiego społeczeństwa, podobnie jak policja, sułtańska armia, kościół, przedsiębiorcy i t.d."

/Piękne zestawienie; ale czy prostytutce nie było w niemieckich społeczeństwach?/. Najwięcej stosunkowo wolności dla kobiety widzi Bebel w Rosji /sic!/, częściowo z powodu istniejących tam komunistycznych urzędów, częściowo z powodu ich tradycji.

Ale to wszystko zmieni się w ustroju kolektywistycznym. W tym ustroju "znikną złodzieje, bo zniknęła prywatna własność". "Bez gwałtownego zamachu i uciśku przekonań, jakiegokolwiek one są rodzaju, zniknie stopniowo sama przez się religia". W tym ustroju "zaspokojenie popędu piciowego jest dokładnie tak samo osobistą sprawą każdej jednostki, jak zaspokojenie każdego innego popędu naturalnego". Dlatego też nie będzie stałych związków małżeńskich, wola stron w każdej chwili będzie mogła ten związek zerwać. Skutkiem tego nie będzie starych panien, no i, oczywiście, prostytutki<sup>5/</sup>.

Podobne poglądy wyznawał Engels i cały szereg innych pisarzy socjalistycznych. Socjalizm miał zadanie ułatwione. Jednym z głównych argumentów, przemawiających za trwałością małżeństwa, jest wzgląd na dzieci, które unieszczałiwia i wykołaja rozejście się rodziców. Ale w ustroju socjalistycznym tej troski nie będzie, dziećmi zajmie się "społeczeństwo". Słowem, Bebel obiecuje bardzo piękne rzeczy: dużo przyjemności bez grzechu i kosztu.

Czy jednak taki pogląd jest poglądem właściwym z istoty rzeczy socjalizmowi? Bebel w małżeństwie widzi przede wszystkim sprawę zaspokojenia popędu piciowego. Gdy ten popęd wygasa, cały stosunek traci swoją rację, mężczyzna może rzucić kobietę, kobieta mężczyznę, niepodobna jest nikogo do niczego przymuszać. Ten pogląd nie wynika z założeń kolektywizmu, lecz jest brutalnym, niemniej jednak konsekwentnym zastosowaniem idei praw jednostki; chodzi tu o jedno z tych praw, prawo do swobodnego zaspokajania popędu piciowego. A. Bebel nie potrzebował się silić, by wymyślić tego rodzaju organizację "małżeństwa". Znalazł gotowe wzory u anarchistów, u różnych dekadentów, którzy, gardząc zresztą tłumem, głosili podobne zapatrywania. Są one wyrazem rozluźnienia się dyscypliny społecznej i troski o przyszłość pokoleń, której doraźnego używania, krótko mówiąc, rozkładu obyczajów. Gdy bierze się za punkt wyjścia tylko prawa jednostki, zapomina się o obowiązkach. Gdy się stoi dalej na stanowisku, że wszystko w obecnym ustroju jest złe i nienawistne dla proletariatu, to wówczas zrywa się z przeszłością, przecina się tradycję i chce się wszystko urządzać racjonalnie, spełnić na nowo, nie krępując się żadnymi, materialnymi i moralnymi pozostałościami ustroju dawnego. Socjalizm stanął na tym stanowisku, ale w planach przyszłości, które miał, nie znalazł żadnego własnego punktu wyjścia, jak tylko ideę praw jednostki, które rozwinął wiek XVIII. Ostatecznie socjalizmowi chodziło o największą sumę szczęścia dla jak największej liczby ludzi. Pod tym względem socjalizm spotykał się na jednej drodze z Benthamem. Gdy zaś akcentował mocno zasadniczą równość ludzi, gdy uzależniał byt instytucji społecznych i politycznych od zgody jednostek, był wiernym uczniem Rousseau'a./.../

Roman RYBARSKI

Przypisy  
=====

- 1/ R. Michels, Zur Sociologie des Parteiwesens in der modernen Demokratie, 1911, s. 277 i nast.
- 2/ W. Sombart, Der proletarische Sozialismus, vol. II, 1924, s. 445



- 3/ A. Bebel, Frau und Sozialismus, XV Aufl. 1892, s.376, 284  
 4/ Cyt. za W. Sombart, Der proletarische Sozialismus, vol. I  
 s. 323  
 5/ A. Bebel, Frau und Sozialismus, s.93, 142, 317 i nast.  
 448 i nast.

Czwarty rok działalności rozpoczęło poznańskie  
 wydawnictwo

## Głosy®

Naszym nakładem ukazały się do tej pory nastę-  
 pujące pozycje:

Roman CHOJNACKI

George ORWELL

Stanisław SWIANIEWICZ

Leszek KOŁAKOWSKI

Roman DMOŃSKI

Andrzej NOWICZ

Mikołaj BIERDIAJEW

Leszek SZARUGA

Roman RYBARSKI

Mikołaj BIERDIAJEW

Jerzy JASTRZĄB

Andrzej NOWICZ

Wiktor SUWAROW

Sławomir MROŹEK

Marek TARNIEWSKI

George ORWELL

Józef MACKIEWCZ

Apel poległych i inne  
 wiersze

Esaje

Lenin jako ekonomista

Gdańsk 13-15 grudnia

1981 /zestaw fot./

Nie wierzę w zwycięst-

wo totalitaryzmu...

W kwestii komunizmu

Stosunki Kościół-państwo

w latach 1944-56

Nowe średniowiecze

I inne wiersze

Idea państwa monopolicz-  
 nego

Markizm i religia

Z ostatniej chwili pokoju

z pierwszych miesięcy

wojny

Zbawca czy tyran? /wokół

legendy J. Piłsudskiego/

Wyzwoliciele

Donosy

Słownik polityczny

Rok 1984

POWRÓT SACRUM

/wybór artykułów/

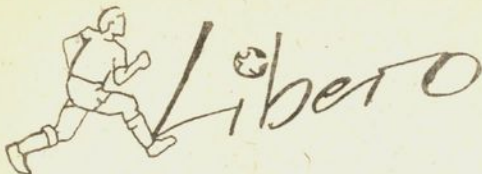
Droga pani...

TEATR 8 DNIA /zestaw fot./

Wydawnictwo GŁOSY jest niestety jedyną inicjatywą  
 tego typu na terenie Wielkopolski, co skutecznie  
 uniemożliwia pożyteczną konkurencję.

C Z E K A M Y !

GŁOSY



## PISMO LIBERAŁÓW WARSZAWA

Adam Mickiewicz

### DLACZEGO KŁAMIE ?

Szatan, choć sobie mądrość i siłę przyznaje,  
Nie, że kłamie, i wiary sam sobie nie daje;  
Dlatego rad wśród ludzi zdania swoje szeregów,  
By je słysząc z ust cudzych, mógł im sam uwierzyć.

Samieszkożając ten enterowiersza samoszkożący, że nie  
jestem ci ani na głos opinii publicznej - dlatego  
na s s krytyka Wieszczka nie dotyczy!

### OD REDAKCJI



Redakcja przypomina,  
ze samieszkożące artykuły  
przedstawiają wyłącznie  
poglądy Autorów, żaden  
nie przedstawia "poglądów  
redakcji": ciąża kolektyw  
ne nie mają poglądów. Nie  
widzimy też potrzeby, by  
taką fasadę stwarzać.

Jedynym wyjątkiem mogłaby być wojna, w którą dostalibyśmy twi-  
kani. W zasadzie zajmujemy tu stanowisko pro-państwowe. Przypomina  
my jednak, że realnowa prasa publicznie wychwala np. p. p. Brandta,  
który nie tylko nie spełnił swego obywatelskiego obowiązku, ale  
wręcz walczył przeciwko swemu państwu w mundurze norweskim.

Wskazujemy, każdy z nas ma s w o j e poglądy. Marynarsko, że  
do kontrolemotów ich uogólniania nie dochodzi.

# PRZEŁOM?

Gdy numer ten pójdzie do druku, w Moskwie rozpocznie się zjazd kom-partii sowieckiej. Nie ukrywam, że w stronę Kresla patrzę z pewną nadzieją. Wprowadzie ustrój brytyjski, szwajcarski lub amerykański jest znacznie bliższy naszym idealom - jednak polska rzeczywistość zależy znacznie bardziej od tego, co dzieje się w Sowietach. Być może jednak ważniejsze jest coś innego: ustrój amerykański ewoluje wyraźnie w złym kierunku, i wcale nie jest pewne, czy wysiłki konserwatystów i neo-liberałów potrafią ten trend powstrzymać - natomiast ustrój sowiecki od czasów post-bolszewickich zmienia się w kierunku właściwym - i wyraźnie nabiera ostatnio zdecydowania i przyspieszenia.

Opinię tę opieram nie na wyglądzie p. Michaiła Gorbaczowa i nie na Jego pokojowych inicjatywach, próbach naprawy gospodarki itp. powierzchownych działaniach. Zmiany zachodzące w ZSRS planowane są - jak się zdaje - o wiele głębiej. Silną przesłanką jest prowadzona ostatnio odgórna i gwałtowna kampania przeciwko samej podstawie ustroju policyjnego: anonimom i donosom, kampania posuwająca się wręcz do stwierdzeń, że pisanie ich jest przestępstwem kryminalnym!

Wydało mi się, że nie jest też przypadkiem data obecnego Zjazdu. Od pewnego czasu dają się w Sowietach słyszeć - przypuszczalnie inspirowane odgórnie - supozycje, że "Być może należało zatrzymać się na Rewolucji Lutowej..." W naszym środowisku witane jest to z mieszanymi uczuciami: liberałom rewolucja lutowa się podoba - w konserwatystach budzi - jak każda - wątpliwość. Zgodnie jednak uważamy, że w porównaniu z Październikową była znacznie czystsza.

Związek Sowiecki w odróżnieniu od Polski nie może wrócić do grona krajów naszej cywilizacji ewolucyjnie: musi wykonać skok. Nie wiem, czy dokonanie go jest możliwe, i czy nie zagrazi trwałości Imperium. Wbrew pozorom jego rozpad nie byłby dla Polski korzystny. Znaleźlibyśmy się między potężnymi Niemcami, a filo-germańskimi i anty-polsko nastawionymi nacjonalizmami: litewskim i ukraińskim - a Ukraina jest krajem ludniejszym i bogatszym niż Polska. Granica na Odrze i Nysie uznana jest wyłącznie przez Francję ... RFN wyraźnie stwierdza, że układy z Polską nie zobowiązują do niczego przyszłych, zjednoczonych ewentualnie Niemiec /co m.in. jest skutkiem nieuznawania przez PRL pretensji RFN do reprezentowania całych Niemiec!/. Stąd raczej państwa każą nam troszczyć się o los rydwanu, do którego jesteśmy przykuć.

Nie oferujemy władcom Kremla niczego: ani nie jesteśmy partnerem, ani nie będziemy prowadzić żadnych konszachtów poza plecami rządu PRL: dość już warcholstwa, które w efekcie jeszcze bardziej uzależnia nas od Moskwy. Możemy tylko przestać zapewniać, że wszelkim próbom wydobycia się ZSRS z pułapki, w jaką wpadła go doktryna - towarzyszyć będzie nasza szczera sympatia, znacząca jedynie obawą, że - jeśli nasz wielki sąsiad pójdzie śladami swego wielkiego sąsiada - pozostaniemy ostatnim w cywilizowanym świecie państwem utrzymującym zbankrutowany system społeczno-gospodarczy.

Oby ziściły się nadzieje! Oby nie spełniły się obawy!

Warszawa, 21 lutego 1986

A.B.

Zaskakujące! Dlaczego "tu i teraz" taki apel? Po prostu "kiedys i gdzieś" trzeba zacząć. Nasze, lub następujące po nas pokolenie być może doprowadzi do szczęśliwego końca ideę, która narzuca się sama i to z ogromną mocą myślącym Polakom, Czechom i Słowakom. Niestety, wcześniej to naturalne ciążenie ku sobie naszych 3 narodów zauważyli obcy i dość umiejętnie posiali między nami niechęć i fobie. Zdarza się spotkać ludzi, którzy jednym tohem wyrzucają z siebie, że "nie lubią Czechów". Dlaczego? I tu zaczyna się najczęściej jakanie typu "wicie, rozumiecie". Podobne typy spotyka się nie tylko nad Wisłą, lecz także nad Wełtawą. Mamy w historii wzajemnych stosunków sporo wstydliwych momentów po obu stronach. Znacznie więcej było jednak między naszymi narodami gestów prawdziwie braterskich / nie w dzisiejszym, wypaczonym sensie tego słowa/. Dziwić się jedynie należy, że po obu stronach lepiej znane są cienie niż blaski.

Czy możemy mieć wielkie pretensje do Czechów, że zajmowali wobec nas niezbyt przyjazną postawę w 1920 roku? Przecież Lenin zrobił wodę z mózgu milionom ludzi w Europie. Rewolucja Październikowa jawiła im się jako prawdziwe wyzwolenie biedaków spod okrutnego ucisku i zgotowanie im nieba na ziemi. Przecież polscy komuniści na Śląsku nie uczestniczyli w Powstaniach Śląskich, żeby nie wzmacniać prądzącyjnej Polski tym uprzemysłowionym regionem. Według przewidywań Lenina i jego sztabu największa szansa na zwycięską rewolucję istniała w oszabionych wojną Niemczech i lepiej byłoby gdyby Śląsk został niemiecki.

Stosunki polsko-czeskie w okresie międzywojennego 20-lecia czekały na swojego dziejopisę. Jedno można powiedzieć, że marsz na Zachód chwalił nam nie przyniósł, a ku radości nazwijmy je "państw ościennych", zwiększył czesko-polskie animozje.

Późniejsza wspólnota losów spowodowała, że Benes i Sikorski rozmawiali już zupełnie innym językiem, spostrzegając wreszcie, jak oba państwa ku sobie ciążą.

Popatrzmy na mapę. Pięknie, nieprawdaż? Bałtyk i Dunaj. Ogromne bogactwa naturalne, z których bódaj największe to centralne położenie w Europie, gwarantujące spore dochody z tranzytu.

Popatrzmy na liczbę mieszkańców. Ktoś kiedyś trafnie napisał, że do utrzymania suwerenności w centrum Europy należy się legitymować minimum 50 milionami ludności i potencjałem gospodarczym, równoważącym potencjał RFN. Zjednoczenie Polski i Czechosłowacji stworzyłoby w środku Europy takie właśnie państwo.

Spójrzmy na poziom gospodarki i techniki obu krajów. Względy, o których wyżej wspominałem zapewne spowodowały, że dziwnym trafem więzi kooperacyjne między przemysłami Polski i Czechosłowacji są słabsze niż między innymi krajami EWPG. Zarówno dla Czechosłowacji jak i dla Polski największymi partnerami są ZSRR i NRD. Bo Polacy i Czesi ciagle nie mogą się dogadać.

Nie trzeba przekonywać jak naszej gospodarce i technice przydałyby się czeskie doświadczenia i tradycje, a im nasze zasoby naturalne. Do tego związku nie weszlibyśmy jak ubodzy krewni. Połączone potencjały przemysłów maszynowych obu krajów dałyby nowemu państwu możliwości konkurowania na rynku światowym w wielu dziedzinach.

Bardziej zauważalna w świecie stałaby się nasza kultura. Zjednoczenie - mam nadzieję - przyspieszyłoby proces cywilizowania się naszego kraju, bo obecnie Czesi wyprzedzają nas pod tym względem o 50 lat.

Nie ma większego sensu rozpisywanie się nad szczegółami. Celem tego artykułu jest rzucenie pewnej idei do przemyslenia. Chodzi o to, by myślenie kategoriami zjednoczenia ogarnęło możliwie dużą część naszego społeczeństwa.

Rozmawiałem na ten temat z wieloma Czechami i Słowakami. Byli zaskoczeni tą ideą, ale szybko chwytali jej ogromne zalety. Przyzwyczajają się wobec tego do myśli, że prezydenta mieć będziemy w Pradze, a rząd w Warszawie / lub na odwrót /, że na obecnej czechosłowackiej fladze pojawi się orzeł, lub na dzisiejszej polskiej - lew / lub na odwrót /, że będziemy mieć wreszcie hokej na światowym poziomie, a mieszkańcy Czechich Budziejowic - staną się obywatelami państwa morskiego.

A może po prostu warto się zjednoczyć choćby dlatego, żeby nas inni nie zjednoczyli, tylko że pod całkiem innym sztandarem?

*mk*

## **— Tak, ale...**

Czy do artykułu o Czechach i Słowakach może wtrącić swoje słowo Morawianin?

Pochodzę z Brna. Długo mieszkam w Polsce i przywykłem już, że Polacy nie odróżniają od Czechów nie tylko Morawian, ale i Słowaków. Pamiętam za to słowa tow. Husaka z końca 1968 roku: "Wiemy, gdzie szukać autorów projektu t r ó j - stronnej federacji; znajdują się w Brnie!"

Morawy mają starsze tradycje państwowe od Czech. Wielkie Morawy obejmowały Śląsk, Małą Polskę z Krakowem i Wrocławiem łącznie! Odrębność naszą wyczuwamy wyraźnie (Czesi twierdzą dziś, że Hitler kupił nas stworzeniem Protektoratu "Czech i Moraw").

Społeczeństwa morawskie i czeskie są podobne, raczej nieznacznie. Słowacy to naród chłopaki. Ponieważ w bitwie pod Białą Górą wyginęła czeska i morawska szlachta, to połączenie tradycji rycerskiej Polski (a może i Węgier) z Czechosłowacją byłoby dla obydwu stron wysoce korzystne. Załować można, że królowanie Kazimierza Jagiellończyka w Pradze, Ludwika Węgierskiego w Polsce, Maksymiliana Habsburgów nie skończyło się trwałą unią, na kształt polsko-litewskiej...

Nasze narody czują jednak do Polski niechęć, gdyż polskości kojarzą się u nas z szowinizmem. Lysię, że urazy takie mogłyby zostać przezwyciężone, gdyby Polska szwoliła na terytorialną samorządność swych historycznych ziem: Pomorza, Wielkopolski, Górnego i Dolnego Śląska, Łazur i Warii, Łasowsza, Małopolski, Galicji (chodzi o ziemię b. księstwa halickiego, położone za Janem). Gdyby powstała taka federacja, znacznie zdrowsza niż "Federacja 49 Komitetów Wojewódzkich" - i gdyby okazało się, że biurokracja centralna potrafi nie dopuścić do anarchii, a jednocześnie nie ograniczać samorządności - to sądzę, że Czesi, Morawianie, Słowacy i Ślązacy morawscy gotowi byłiby na wiele ofiar, byle ich przyjęto do Severosławii.

Informuję też redakcję, że idee braci morawskich są u nas od dawna nie w modzie. Liberalów jest u nas więcej niż w Polsce!

**B.R.**



# WOJNA!

Smaczna część ludzi nie rozumie charakteru zmian w polityce międzynarodowej wynikłych wskutek dwóch faktów:

1/ skonstruowania broni jądrowych  
2/ próby stworzenia systemu eliminującego (SDI) broń jądrową.  
Wynalazek 1/ w zasadzie uniemożliwił wojnę. Istotnie, odkąd bomby nuklearne nabrały mocy globalnej żadne z mocarstw jądrowych nie prowadziło wojny na serio. Były, owszem, ekspedycje karno-kolonialne: Wk. Brytanii p-ko Argentynie, Francji p-ko Libii /w Czadzie/ USA w Viet-namie oraz ZSRS w Afganistanie - jednak ani merytorycznie ani formalnie nie były to wojny: w żadnym z tych przypadków wojna nie została wypowiedziana (w pierwszym z nich nawet obywatele obydwu krajów swobodnie kursowali między nimi (omijając, oczywiście Falklandy) i trwała wymiana handlowa!)

Z drugiej strony wojna i e s t potrzebna. Wbrew pismakom twierdzącym, że ludzkość pragnie pokoju, młodzież na całym świecie zachowuje się coraz bardziej agresywniej. Rozwijają się substytuty wojen: najbardziej widocznymi są bitwy kibiców różnych drużyn. W normalnych czasach tacy awanturnicy ciągnęli się do wojska i tłukli gdzieś na rubieżach bądź za morzami - dziś siedzą w kraju, na ogół za kratkami, gdyż nie mogą znaleźć życia w spokoju; niszczą siebie i sprawiają kłopot innym.

Jednym z możliwych rozwiązań są wojny prywatne, jak w Wiekach Średnich. Państwo - lub inna organizacja - wynajmuje zaciągów, po czym tłuką się oni między sobą. Taki charakter mają walki w Afryce - a po części i wyżej wymienione. Niestety, Kongres USA znacznie ograniczył prawo Prezydenta do prowadzenia takich awantur bez formalnego wypowiedzenia wojny - wiele jednak da się jeszcze zrobić.

Są to jednak półśrodki. Drugim celem wojny jest bowiem eliminacja osobników nieprzydatnych. Nie chodzi wcale o zabijanie ich na froncie, skądże znowu!! Chodzi o to, że w warunkach pokoju i dobrobytu stolki okupowane są przez ludzi znających się na jednym: jak najkrociejniej zajmować stolki. Dopiero najwyższe zagrożenie znoszą rzędy do zastąpienia ich ludźmi znającymi się na rzeczy. Podczas wojny Stalin zaprzestał represji wobec kadry oficerskiej. Co prawda biurokracja się nie poddaje łatwo: w Wk. Brytanii do końca wojny przetrwały szanse sw. Biurokracego. Nawet w podziemnej Armii Krajowej pogrzebowcom sanacji udało się utrzymać większość kluczowych pozycji! Jednakże zawsze wojna pozwala fachowcom wyprzedzić znaczną część urzędników - i jest to powód, dla którego w państwach socjal-etatystycznych wojna jest jedynym motorem postępu. Dotyczy to również postępu naukowego i technicznego. Gdyby "kret" służył nie do przeciągania cywilnych kabli, lecz do sterowania rakietami, jego produkcyjność trwałaby nie 10 lat, a rok - zaś w przypadku wojny: dwa tygodnie.

Zrzeszujemy: im więcej etatyzmu i opieki państwa nad obywatelami - tym większa psychizacja i społeczna potrzeba wojny. Dodajmy do tego przyczyny gospodarcze: w świecie liberalnym nie istnieje walka zbrojna o rynki zbytu, gdyż nie ma barier celnych; w świecie protekcjonizmu walka taka jest nieunikniona!

Jednakże - przypominamy - technika uczyniła wojnę niemożliwą. Bo - wcześniej już obłądny pomysł totalistów - osiągnięcie do wojny całego ludzkości, zamianę najemników lub ochotników - uczynił z wojny coś sprzecznego z naturą ludzką, gdyż do walki zmuszani są ludzie nie lubiący się bić! Od czego, oczywiście, uroda morale armii. Zamiast d'Artagnana pojawia się dzielną wojak Szewek.

Któryś z klasyków socjalizmu powiedział bodaj jeszcze przed I wojną światową: "Gdyby car rosyjski dowiedział się, że chce wynarodowić sto tysięcy młodych Rosjan, a król brytyjski, że chce wynarodowić 100 000 młodych Brytyjczyków - nie utrzymałby się na tronie ani dnia dłuższego. Gdy jednak car chce zabić sto tysięcy Anglików, a król sto tysięcy Rosjan - to narody biją im brawo i masowo idą z ochotą na tę rzeź". Uwaga ta jest słuszną. Ludzie porzuceni sobie wybiekają, spokój i bezpieczeństwo, co wyklucza postać - stąd próby oszukania ich. Dopóki chłop spokojnie orał, a ochotnik-zawodowca kłóli się między sobą - wszystko było w porządku. Tak było w czasach oświecenia do Epoki Wielkich Kiepców. Wojna oznaczała coś najwyżej większe podatki (co najwyżej - gdyż niektóre króle finansował z własnej szkatuły). Komuna laryska postanowiła położyć temu kres. Przegrała - ale jej idea zatrzymała w następnym wieku: wojny stały się sprawą nie tylko państwową, ale klasową i narodową.

Brazylę teraz przeszedł przeróżną trudność sytuacji pp. Cortesosa i B. Reagana. Wygląda, mogą być przekonani o potrzebie wojny - jednak nie mogą jej prowadzić, a na spotkanie nie mogą (nawet przy mniejszej) przystąpić do takiego przekonania! Stąd konieczność prowadzenia skomplikowanych negocjacji i subtelnych aluzji.

SDI jest urządzeniem prowadzącym prosto ku wojnie. Gdy zeżłynie zagrożenie nuklearne, jedyną siłą nie powstrzymującą państw od rozstrzygnięcia sporów w jedyny możliwy sposób: siłą. Być może uda się również zapobiec prowadzeniu wojny chemicznej. Bakteriologiem jest bardziej ludzka i mniej groźna: szereg bakterii zabijające żywioł w 100% - giną; pozostają wyłącznie bakterie porażające organizm nosicieli przez życie, co gwarantuje przetrwanie odporności całej ludzkości. Niemniej od tego jednak, czy bronie B i C zostaną też nieszkodliwione, pewnie jest jedno: SDI to pewny krok ku wojnie, a nie ku pokojowi. Zima 33-letniej argumentacji racji na to SDI, a nie USA.

SDI zatem czyż nie należy?

1/ Starać się obalić protekocjonizm w wymiarze międzynarodowym. Umożliwić gospodarczą przysięgę wojen.

2/ Starać się obalić socjal-etatyzm. Wojna przestanie wówczas być interesem ogólnopolskim.

3/ Doprowadzić jak najbardziej działalność prywatnej inicjatywy, z możliwymi przewidzianiami akcji zbrojnych. Jeżeli np. Bank Polski podzieliłby Republicę Serendypitu foras, i nie istniałaby podkoba lego naga (jedź kolumna), to prawo polskie nie powinno zabraniać Bankowi zaangażowania najemników, a nawet wynajęcia za pieniądze (od laryszki wojennej lub skądinąd) statku wojennego. Po co od razu dyplomatów kanonierów, gdzie p a k s t w o walczy z p a k s t w e m, czy można sprawić zaskoczenie bez powołania chorągiewkami i taniec?

4/ Zniszczyć socjalizm w sensie państwa opiekuńczego. Gdy obywatel nie wolno ryzykować własnym majątkiem, zdrowiem i życiem, jedni orientują się w psychologiczne kaleki, boją się podrzucenia kłosa do góry - a inni reagują przesadnie w drugą stronę, niszczone się nielegalnie w kłótniach, awanturach i narkotykach. W tych ludzich drzewach ogromna energia! Gdyby część jej spożytkować dla dobra ludzkości, a dla reszty otworzyć zawór bezpieczeństwa w postaci legalnych wojen prywatnych, pojedynków itp. - świat nasz stałby się lepszy i czystszy. Za ranie jest bezpieczniejszy. K a r a z i e .

Reforma ma się dobrze, jej twórcy jeszcze lepiej. Narzekają natomiast zawodowi mąciciele /Ach ten prof. Mujżel! Kiedy on zrozumie, w jakim ustroju żyje! / i naiwni, którzy sądzą, że deklaracje polityczne o "konsekwentnym wdrażaniu reformy" są szczerze i znajdują pokrycie w czynach.

Dobłą ilustracją "konsekwencji" było opublikowanie pięćsetki najefektywniejszych przedsiębiorstw i następnie pięćsetki uszeregowanej wg średniej płacy. Było to prawie dokładne odwrócenie piramidy.

Powodzenie programu uzdrawiania rynku w dużym stopniu, a nawet w decydującym stopniu zależy od prawidłowych relacji między wzrostem płac a wzrostem wydajności, między wzrostem dostaw towarów i usług a ilością pieniądza trafiającego na rynek. Prawdy te są znane nawet marksistowskiemu politykom, boć przecież na ich przyswojenie mieli 40 lat. Tyle, że nic z tego w praktyce nie wynika. Nacisk "klasy rządzącej" czyli robotników na tych, którzy ich w rządzeniu wyręczają jest tak silny, że nadal, podobnie jak w latach 70-tych, najszybciej rosną płace. Oto kilka przykładów /dane za 5 m-cy 1985 r. /: w Pafawag produkcja spadła o prawie 9%, wydajność wzrosła o 6,8% a przeciętna płaca o 24,6%! W gdańskim Unimorze produkcja wzrosła o 10,5%, wydajność pracy spadła o prawie 5% a przeciętna płaca wzrosła o 46,6%! W Hucie im. Nowotki przy niezmięnionej produkcji i 2-procentowym wzroście wydajności przeciętna płaca wzrosła o 39,3%! W Hucie Szkła Jarosław przeciętna płaca wzrosła o 35% przy jednoczesnym spadku produkcji i wydajności. W Hutach im. Bieruta i "Warszawa" produkcja spadła o 19%, wydajność odpowiednio o 6% i o 1%, a płace przeciętne wzrosły o 31,6 i o 19,5%. Skrajnie negatywnym przykładem "gospodarności" jest Przedsiębiorstwo Inżynieryjno-Montażowe Budownictwa Rolniczego w Bartoszycach, w którym produkcja i wydajność spadły więcej niż o połowę, za to przeciętne płace wzrosły o 33,8%.

Przykłady te można mnożyć, ale i tych wystarczy, by się przekonać, że "wadza, jak mawia Fedorowicz, nie czyma renki na pulsie".

Zdaje sobie sprawę, że suche wskaźniki nie mówią wszystkiego, a czasami nawet zaciemniają obraz. Być może ponure dane z Bartoszyca są wynikiem sanacji /słowo wyklęte doczekało się rehabilitacji/, w ramach której wyższymi płacami próbuje się utrzymać uciekającą załogę. Nie jest to jednak, proszę marksistowskich ekonomistów, ratunek w duchu reformy. Jesteście w sytuacji nie do pozazdroszenia, ponieważ w wszelkie rozsądniejsze ruchy hamuje wam doktryna i leninowski nakaz utrzymywania się przy władzy bez względu na nastroje społeczne i osiągnięte w rządzeniu wyniki.

Będę powtarzał aż do skutku, że wyjście jest jedno: autentyczne porozumienie narodowe i zmiana garnituru rządzącego na zupełnie nowy, który bez utraty twarzy mógłby wprowadzić rozsądny, czyli wolnorynkowy model gospodarczy. Władza nie może kokietować robotników i ulegać ich żądaniom płacowym w sytuacji, kiedy inflacja się nasila. Robotnicy dają się nabierać na papierowe podwyżki, nie wiedząc, że nakręcają spirale inflacyjną i na coraz dalszą metę odsuwają czas uzdrowienia ryn-

ku, co uderza najistotniej właśnie w nich, bo "rząd się wyżywi". W pułapkę dali się wciągnąć także działacze Solidarności, którym marzył się zachodni dobrobyt przy zachowaniu "socjalistycznych" metod pracy. W spadku zostawili ideę samorządów robotniczych, które nadałyby się może do zarządzania manufakturami o zasięgu gminnym, ale w dobie powstawania przemysłowych organizacji międzynarodowych są anachronizmem i kulą u nogi.

Wizję rozwojową kraju przedstawił nam Urban, rzucając mimochodem uwagę, że większość /!/ społeczeństwa woli się rozwijać wolniej /chyba do tyłu?/ ale z zachowaniem zdobyczy socjalnych. Warto przypomnieć, że powiedział to przy okazji odpowiadania na pytanie, czy rząd jest zdeterminowany wprowadzać reformę gospodarczą. W normalnym kraju po takim oświadczeniu akcje przedsiębiorstw prywatnych spadłyby na lew na szyję, natomiast w PRL przygotowano ustawę o ... spółkach z kapitałem zagranicznym.

Towarzysze ministrowie, jeżeli macie mózgi tam, gdzie przypuszczam, to podejmujcie ważne decyzje na stojąco, żeby nie uciskać szarych komórek. Na co liczycie? Że zachodnie konsorcjum bankowe przyjdzie z kapitałem do kraju, który zbankrutował i powierzy swój kapitał spółce, w której nie będzie miało nic do powiedzenia, bo ustawa przewiduje, że 51% kapitału musi należeć do państwa? Należy się domyślać, że wydział kadr KC PZPR będzie decydował o obsadzie kierownictwa takich spółek, skoro dziś decyduje o tym, kto ma być dyrektorem biura /!/  
w centrali handlu zagranicznego.

Zalóżmy, że takie konsorcjum się znajdzie i powierzy swoje kapitały menadżerom, którzy np. wymyślili budowę huty "Katowice". Zalóżmy, że taka mieszana spółka osiągnie po pewnym czasie sukcesy finansowe. Przewiduję, że wówczas grupa inspekcyjna żołniersko-robotniczo-chłopska stwierdzi, że część ludzi w spółce osiąga "nieusprawiedliwione" dochody, bo stołuje się w hotelu Victoria. I wówczas na żądanie klasy robotniczej Sejm zdecyduje, że należy podatek dochodowy podnieść do 95%, albo spółki całkiem upaństwowić.

Węgry poszli na sprzedaż obligacji i większość nabywców to osoby prywatne. U nas umożliwiono wypuszczanie obligacji, ale z zastrzeżeniem, że obrót obligacjami może się odbywać wyłącznie między przedsiębiorstwami uspołecznionymi. Bardzo doktrynalnie. Tyle, że bez wyników.

Sądząc z pierwszych kroków ministra handlu zagranicznego jest to człowiek, który umiał wyciągnąć wnioski z obserwacji gospodarki wolnorynkowej. Czy wyciągnął je do końca? Okaże się wkrótce, a sprawdzianem będzie, czy uda mu się nadwyrężyć konstytucyjny - niestety-zapis o państwowym monopolu handlu zagranicznego. Na razie ma u liberałów krecinę, bo to jego resort przygotował projekt ustawy o spółkach z kapitałem zagranicznym, z zastrzeżeniem, że 51% kapitału musi należeć do strony polskiej.

Z porządkowaniem handlu zagranicznego należy się śpieszyć, bo wyniki są coraz gorsze. Bardzo buńczucznie ustawili dumni szefowie

PRL-u do kąta niegrzecznego Resnaisa i innych przywódców zachodnich, zacieśnili wiadome więzy i dziwią się teraz, że nasz eksport do krajów zachodnich się kurczy i że nie napływają nowe kredyty. No ale przynajmniej Górnicki, Urban, Rakowski i paru innych mogło sobie poużywać na USA. Tylko dlaczego koszty tej dintojry ponosi społeczeństwo?

Wychodzenie z kryzysu zawsze odbywa się kosztem społeczeństwa i warto to, a nawet należy społeczeństwu powiedzieć, w tym także górnikom, hutnikom i innym, których zarobki dwukrotnie i więcej przekraczają średnią krajową. Trzeba jednak pokazać realną drogę wychodzenia z impasu i wykorzystać wszelkie możliwości przyspieszenia rozwoju gospodarczego, bo społeczeństwo jest zmęczone.

Mam taki program. Ujawniam punkt pierwszy, w którym zakładam zamianę stanowiskami z premierem. Punkty następne ogłoszę w swoim pierwszym przemówieniu do narodu. Mogę jeszcze zdradzić, że myślą przewodnią mego przemówienia byłoby ustanowienie - wreszcie! - priamatu ekonomii nad polityką i szukanie związków z każdym, kto mógłby nam pomóc finansowo, technologicznie i organizacyjnie.

Michał Kowalik

Piotr Wierzbicki

## O REFORMIE INACZEJ

Wszyscy - od "Polityki" poprzez "Tygodnik Powszechny" do pism "drugiego obiegu" - martwią się o los reformy gospodarczej. Reforma jest - posiadają - zagrożona, a niewykluczone, że już raczej w ogóle jej nie ma. Wszyscy widzą w reformie wielką szansę, a w jej ewentualnym, czy też rzeczywistym zaniechaniu wielką katastrofę.

Mój punkt widzenia /w kwestiach gospodarczych/ przedwojenno - konserwatywno - indywidualny pozwala mi myśleć o reformie gospodarczej zupełnie inaczej. Doceniam jak najlepsze intencje działaczy i publicystów losem reformy zatroskanych, zdają sobie sprawę z tego, że ci którzy o reformę walczą, stanowią lepszą część ekonomicznej technokracji i że ci, którzy ją torpedują, reprezentują najmniej kwalifikowane, zainteresowane totalną inercją, frakcje biurokratycznego aparatu. Jestem emocjonalnie za reformą, ale rozum dyktuje mi kilka wątpliwości, które ową całą konstrukcję oklaskiwania reformy i płakania po reformie zdają się przewracać jak domek z kart.

Pierwsza wątpliwość. Polska znajduje się nadal w tarapatkach gospodarczych, a ceny idą w górę. Z tekstów bojowników o reformę gospodarczą, mniej lub bardziej bezpośrednio wynika, że reforma byłaby lekarstwem na te kłopoty. Czy to prawda? Każdy ekonomista, wszystko jedno z której strony barykady, przyzna, że to bzdura. Reforma gospodarcza, jeśli przynosi skutki pozytywne, to na dłuższą i na krótką, w perspektywie krótkiej i średniej, wymaga wyrzucenia i nie likwiduje kłopotów, lecz je wzmacnia. Reforma od wyższości cen i braku węgla oraz ropy nie uratuje.

Druga wątpliwość. Entuzjaści reformy powołują się zwykle na przykład Węgier. Węgrom - istotnie - udało się. Ale czy ta analogia



nie jest aylacą? Węgry otrzymywały przez szereg lat ogromną gospodarczą pomoc zagraniczną. Są poza tym krajem małym i wyżej rozwiniętym cywilizacyjnie niż Polska. NRD dostała pomoc gospodarczą, jest krajem cywilizacyjnie zaawansowanym, nie przeprowadziła reformy gospodarczej i też można tam jechać na zakupy. Węgry zrobiły reformę i dostały na nią pieniądze. Ale nad tym, co było główną przyczyną węgierskiego cudu - ta reforma czy ta forsa - jakoś się nikt nie zastanawia.

**Trzecia wątpliwość.** Reforma to nie jest sposób na łatwy zysk, tylko wprost przeciwnie - kosztowna inwestycja. Reformę można robić wtedy, gdy się ma nadwyżkę forsy. Czy obecny moment w Polsce jest dla reformy właściwy? Najniewłaściwszy z możliwych. Reformę można było robić w Polsce zaraz po roku 1956 lub zaraz po roku 1970. Wtedy była forsa. Teraz są długie.

Spisałem wątpliwości, które czynią mnie nieufnym wobec skądinąd szlachetnych i godnych szacunku entuzjastów reformy gospodarczej, a teraz pora na konkluzję. Czyżby nie wierzył w reformę? Tak, nie wierzę w reformę. Nie wierzę, że lekarstwem na obecne kłopoty Polski i Polaków może być wielka centralna komisja koncepcyjna, która po latach debat opracowuje wreszcie centralny, udoskonalony system kierowania gospodarką, po czym wypuszcza w Polskę tysiące kontrolerów, którzy będą kontrolować opornych biurokratów, przekształcać ich mentalność, zwalniać z pracy, żeby oni nie bojkotowali reformy. Entuzjast ci reformy powiada, że część aparatu kierowniczego stawia opór, wobec tego trzeba ich przypilnować. Czyli potrzebne będą nowe rezerwy, nowe tysiące biurokratów do pilnowania, czy reforma, mająca okrzęcić rządy biurokratów, jest wolana w życie. Kto da dziś forsy na tę zabawę? Wielka, centralnie kierowana reforma gospodarcza jest teraz w Polsce nierealna. Gdyby wprowadzono ją na siłę, nieźle byśmy do niej dopłacili.

Nie wierzę w centralną, opartą na spójnej koncepcji, reformę gospodarczą. Czyżby był obłąkanym zwolennikiem sztywnego systemu nakazowego, ekonomicznego i społecznej inercji, czyżby był beznadziejnym pesymistą, przekonanym, że już zrobić nie da się nic? Nie jest tak w najmniejszym stopniu. Nie wierzę w usystematyzowaną, w kosztowną i wymagającą zgody biurokratów, reformę typu węgierskiego. Wierzę w bałkańską, bezinwestycyjną i nie wymagającą niczyjej zgody, reformę typu chińskiego. Deng Xiao-Ping nie szlifował systemu, nie przeobrażał biurokratów, nie inwestował w reformę. On tylko trochę p o p u s c i ł ! Popuścił i niewidzialna ręka rzuciła miliony Chińczyków w wielką przygodę indywidualnej inicjatywy. Do tego, żeby popuścić, nie trzeba ani miliardów w skarbie, ani koncepcji, ani koniunktury. Popuszczenie nie kryje w sobie ryzyka i nie wymaga wyrzeczeń. W Chinach popuszczone, miliony Chińczyków wzbogaciło się, a produkcja przemysłu kraju podwoiła się w ciągu kilku lat.

Czytam w warszawskiej gazecie, że jakiś urzędnik chce wprowadzić zgubną dla kraju wspólnotę żelaza i stali. Autor martwi się, że drugi urzędnik nie przypilnował, żeby pierwszy urzędnik tego nie próbował. Wynika z tego, że potrzebny jest trzeci urzędnik, który przypilnowa drugiego, żeby pierwszy nie sabotował reformy. I ja mam się tym wszystkim przejmować. Nie, Panowie, to nie moje zmartwienie. Mój problem wygląda obecnie następująco. Za chwilę pójdę na pocztę, żeby wrzucić do skrzynki ten felieton. Obok pocztu jest sklep, sklep centrali rybnej. Jeśli zajdę tam przed dostawą, zastanę ludzi upohanych jak śledzie w beczce, beczkę zaś pustą. Jeśli stawię się zaraz po dostawie, będę stać godzinę w strasznym tłoku. Jeśli przyjdę trochę później, w sklepie nie zastanę ludzi ani ryb. Podobno brakuje ryb. Ale podobno centrala rybna nie radzi sobie z handlem rybami. Coś się po drodze marnuje, brakuje chłodzi, itd. Ale może mieszkają w Polsce ludzie, którzyby sobie z handlem rybami poradzili? Może znalazłby się taki, coby potrafił przywieźć ciężarówkami ryby znad Bałtyku i sprze-

dać je tego samego dnia na bazarze? Gdzie jest powiedziane, że państwo ma handlować szprotkami? Wystarczy jeden mały ruch i kilka obojnych facetów zarobi sobie na rybach, my je sobie kupimy na bazarze, a państwo rozwiąże, spory być może, kawałek odwiecznego problemu z mięsem. Rybi przykład pokazuje innym facetom, jak mogą robić interesy, państwu, jak może tanim kosztem rozwiązywać problemy i wyzwalać inicjatywę, i zamiast reformy naukowej, koncepcyjnej, dopracowanej centralnej, zasadniczej, radykalnej / której być nie może / będzie reforma cząstkowa, nienaukowa, niesystemowa, niedopracowana, niekonsekwentna, lokalna, ale za to realna.

P.W.

 Felieton zdjęty przez Cenzurę z "Tygodnika Powszechnego"

J. K-M

## KONSERWATYSTA Z NOŻEM W ZĘBACH

Jak należało oczekiwać, śmierć Józefa Mackiewicza przyniosła falę zainteresowania się jego pisarstwem. Liberalkowie starają się stanąć na wysokości zadania - i Czytelnik może obecnie zapoznać się ze "Zwyczajstwem Prowokacji" - a także bardzo ciekawą broszurą "Droga Pani..." wydana przez poznańskie "GŁOSY". Mamy nadzieję, że na tym nie koniec. Na nas ciąży przy tym wyraźny obowiązek: nikt inny nie wyde chyba "Watykanu w cieniu Czerwonej Gwiazdy".

Linia rozmowa Mackiewicza jest nam bardzo bliska. Autor wychodzi ze wspólnego założenia: prymatu moralności w polityce. Pod tym sztandarem gromi na prawo i lewo wszelkie szkoły politycznego myślenia, wykazując im niekonsekwencję, zakłamanie, a w najlepszym przypadku chęć jawną.

Streszczanie Jego wywodów jest bez sensu: Czytelnik powinien zapoznać się z oryginałem. Tu pragnę poświęcić się wyłącznie systematycznej analizie i krytyce.

Można i należy odróżnić od siebie dwa zjawiska:

A/ Komunizm i socjalizm jako pewna idea, opisana w mniej lub bardziej utopijnych pismach,

B/ Pewien konkretny stan stosunków społecznych panujący w krajach opanowanych przez ekipy zwące się socjalistycznymi lub komunistycznymi. Ponieważ różnią się one między sobą, w dalszym ciągu pisać będę o inkarnacji panującej między Uralem a Odrą - wstręcając gdzie trzeba rozróżnienie, gdyż komunizm w Polsce odbiega wyraźnie od wzoru sowieckiego. Bronięm nawet kiedyś tezę, że różnica między ustrojem Francji i Polski jest mniejsza zarówno od różnicy między ustrojem Polski i ZSRS, jak i różnicy między ustrojem Francji i Wielkiej Brytanii - co prawda, obiektywnych mierników brak.

A priori można więc wyróżnić cztery szkoły:

Grupa /AB/: Podobna nam się zarówno idea socjalizmu, jak i jej konkretna realizacja.

Grupa ta jest obecnie w stadium zeniku. Jej szeregi rozproszyły strzały wojak p.gen. Jaruzelskiego do robotników. Każdy w miarę inteligentny człowiek widzi, że i Sowiet i Polaka - pod naciskiem grup interesów, biurokracji i obiektywnej konieczności - coraz dalej odchodzą od komunistycznego ideatu. Pozostało grono naiwniaków sądzących, że jest to manewr taktyczny i po przekroczeniu przejściowych trudności partia wróci do urawniłowki, part-minimum, budowy kanału Wołga-Jenisiej i skasuje wręcząc źródło zła wszelkiego, czyli pieniądza. Robotnicy z "SOLIDARNOSCI" to dla nich kontrrewolucjonisci nastąpi przez CIA - itd.

Grupa /A/: bardzo podobna nam się socjalizm, np. demokratyczny - ale ustrój między Uralem a Odrą niewiele ma z tym wspólnego, w związku z czym nienawidzimy go.

Do grupy /A/ należą lewacy wszelkich odcieni - od socjaldemokratów, po trockistów, maciistów, mijalowców etc. Natężenie niechęci do obecnego ustroju może być różne, ale o przynależności do grupy A decyduje jedno: ustrój jest krytykowany za to, że jest z a m a ł o socjalistyczny.

Grupa /B/ Bardzo nam się nie podobna socjalizm, ale ustrój między Uralem a Odrą niewiele ma z nim wspólnego, w związku z tym podobna nam się.

Stopień owego "podobania się" może być różny - ale sam fakt, że ustrój ten o d d a l a się od ideałów Owena, Lenina i Bakunina, skłania tę grupę do przychylnego nam patrzenia. Do grupy tej należy i niżej podpisany - mimo świadomości, że obecnie przechodzimy /mam nadzieję krótki/ okres regresu, związany z nieudolnością gospodarza oddziedziczonego po poprzednich ekipach aparatu.

Grupa /O/ Nie podobna nam się zarówno teoria jak i praktyka socjalizmu i komunizmu.

Do tych zerowców należy i Józef Mackiewicz. Zwracam uwagę, że ogromny rzeczywisty rozdział między owa teoria, a praktyka stwarza zerowcom masę trudności. Teoretycznie stanowisko takie jest do logicznego utrzymania, w praktyce jednak człowiek nieustannie staje przed dylematem: oto rząd gwarantuje prywatną własność ziemi; grupa /AB/ oświadcza ochoczo, że na tym właśnie polega prawdziwe spełnienie postulatów Marxa - Engelsa - Lenina - Stalina - grupa /A/ potępia - grupa /B/ chwali - a zerowcy? Zerowcy zmuszeni są do zanegowania wiarygodności tego aktu /i obecnie będą z pewnością głośno wołać, że rząd właśnie zlekceważył notarialne prawa właścicieli wykupionych - i tak samo przy najbliższej okazji potraktuje zagwarantowane konstytucyjnie prawa chłopów/.

Im większa rozbieżność między teorią, a praktyką komunizmu - tym trudniej żyć zerowcowi. Stąd niektóre uproszczenia i jawne nacłagane konstrukcje, które wyrobiony Czytelnik sam wykąpie w wywodach Mackiewicza. Tu chcę słów kilka poświęcić ludziom skrzywdzonym.

a/ grupa "Zneku". Potraktowana została jako oportuniści, sterczący się dogadzać z "socjalizmem realnym". W rzeczywistości skłonny jestem traktować ich odwrotnie: jako lewicowców, którzy gotowi byli na realny sojusz z lewicowym, lecz nie zbrodniczym, reżimem. Jest to znana w Kościele katolickim formacja ideowa - i nawet Jego Świątobliwość Jan Paweł II nie jest wolny od pewnych jej wpływów. Jeśli Mackiewicz szczerze podkreśla, że "PAX" nie był egentura, lecz zawzięty polityczny układ z innymi zwolennikami systemów autorytarnych - to trzeba podobnie traktować i "ZNAK". Charakterystyczne, że po dalszym odejściu ustroju w prawo partnerem staje się raczej PZKS, a raczej był do momentu przejścia go przez zwyczajnych oportunistów/.

b/ PP. Stefan Kisielewski i Aleksander Sołżenicyn. Zostali potraktowani jako dodatki do "ZNAKU" i p.prof. Sacharowa odpowiednio. Tymczasem z analizy wynika, że "ZNAK" i Sacharov to grupa /A/, zaś pp. Kisielewski i Sołżenicyn - to /B/ i naprawdę trudno tych ludzi zapakować do jednego worka. Stefan Kisielewski zawsze starannie podkreśla - explicito - że w "Tygodniku Powszechnym" prowadzi swoją rubrykę - i nie odpowiada za postęпки redakcji /to samo tyczy p.Piotra Wierzbickiego/. Stefan Kisielewski przy tym nie został postępm w następnej kadencji - podczas gdy inni "znakowcy" pozostawali nadel.

Zarzuty Mackiewicza przeciwko pp.Kisielewskiemu i Sołżenicynowi są jasno naciągane. Moim zdaniem wynikają po prostu z zazdrości.

Rzecz w tym, iż szerzy konserwatyści mają jakąś receptę. Niektórzy - jak ja - wierzą w naturalny proces starzenia się władzy - a starość jest prawicowa, a nie lewicowa. P. Aleksander Sołżenicyn wierzy w religijne odrodzenie moralne - a Stefan Kisielewski w wymuszony powrót rozsądku gospodarczego pod wpływem konieczności.

Mackiewicz nie wierzy już w nic. Polska została wchłonięta przez Imperium Zka. Zło jest nierreformowalne i nie ewoluuje /sem sądzę, że ustroj sowiecki osyłuje wokół innego, sztucznego punktu równowagi - vide; "Historia i Zmiana"/. W gruncie rzeczy wszyscy robią źle: starający się obalić ustroj Polski są lewakami, a starający się utrzymać go w procesie odświeżającej ewolucji są sprzymierzeńcami Kremla.

Co odpowiedziałby Mackiewicz, gdyby spytał Go o sposób wyjścia? Zapewne próbowałby mówić o kontr-rewolucji na ulicach - w odróżnieniu od Budapesztu 56: zwycięskiej - lub o interwencji USA, które narzucałyby nam dyktaturę neo-konserwatywną. Albo, może trzęsienie ziemi lub najazd Marsjan ... W każdym razie: nagły wstrząs - czyli coś, czego konserwatyści słusznie się obawiają.

Wbrew pozorom to my - konserwatywni liberałowie - pokazujemy pewną możliwość wyjścia. Osiągnięcie zdrowych celów niezdrowymi metodami - mało prawdopodobne przy tym - jest skazą na ideologii Autora. Nót w zębach zniekształca oblicze. Fakt.

J. K-M



## WĘGRY: NOWE WIEŚCI Z RYNKU OBLIGACJI

Istniejący od kilku lat rynek obligacji na Węgrzech w coraz większym stopniu przyczynia się do przyspieszenia realokacji kapitału i jest profitowym kierunkiem inwestowania również z prywatnych środków finansowych. Do lipca br. węgierskie przedsiębiorstwa i instytucje - w celu szybkiego sfinansowania swoich zamierzeń inwestycyjnych - wypuściły obligacje o łącznej wartości ok. 2,5 mld forintów /przy czym 70% tych papierów wartościowych wypuszczono za pośrednictwem Banku Inwestycji Krajowych/. Jak dotychczas aż 60% obligacji zakupiły osoby prywatne.

Bank Inwestycji Krajowych wypuścił ostatnio nowy rodzaj papierów wartościowych przeznaczonych dla nabywców prywatnych. Oprocentowanie tych obligacji ustalono na 9% w stosunku rocznym. Jednakże w przypadku wysokiej dochodowości inwestycji finansowanych za środki pochodzące ze sprzedaży tych papierów możliwe będzie zwiększenie ich oprocentowania o dalsze 4% rocznie /ale nie więcej/. Posiadacze takich obligacji otrzymywaliby odsetki dość znacznie przekraczające te, jakie oferuje obywatelom WRL Krajowa Kasa Oszczędności /t/. odpowiednik naszej PKO/.

● Z przelotu na ostatnim plenum KC tej partii, której wydaje się, że rządzi - p.gen. Wojciech Jaruzelski zaproponował Komitetowi Rodzicielskim, by oprócz robienia kotylionów zaczęły prowadzić lekcje w szkołach, wyręczając brakujących nauczycieli.

Popieramy Iana Generała!

Irosimy tylko, by - konsekwentnie - zezwolić rodzicom na zatrudnianie i wyręczanie z pracy nauczycieli, zezwolić na kształcenie prywatne, tworzenie prywatnych szkół i internatów.

Jednym słowem: reprivatyzację zbankrutowanego systemu "obowiązu". Oczywiście rodzicom nie korzystającym z tego systemu należy swobodę odpowiednią część pozycji budżetu "obowiązu".

Uwzględnić p. Generała polecamy też dylemat: czy lepiej tworzyć z pasażerów "komitety autobusowe", które będą prowadzić autobus zamiast kierowcy - czy też zezwolić na zakładanie prywatnej komunikacji samochodowej.

Skrócić byłby ten sam: "KKS". Może Moskwa się nie polapie?

Spróbujmy!

### ● ZGASZENO ZA 326 mld ●

"KOS" - organ "Komitetu Opiera Społecznego "J"" w n-rze 97/86 doniósł p.t. "Rząd daje, czy odbiera", iż w roku 1985 składki emerytalne były o 326 miliardów zł. większe niż wypłacone emerytury.

"KOS" najwyraźniej gwiździe sobie na liście i czytelników. Przecież ta suma, to mniej więcej tyle, ile wyniosły wszystkie składki na emerytury, renty i ubezpieczenia!! Natomiast wypłaty Starbu Państwa z tego tytułu od paru już lat są w y z a s z e niż składki - i wątpię, by coś się w roku 1985 zmieniło. Różnice przesądzą nogą sięgają kilkudziesięciu miliardów!

Co ważniejsze porównywanie tych wielkości jest - z punktu widzenia moralnego - bez sensu. Porównywać trzeba składki tych, co płacili je przed dwiema wiekami, z ich obecnymi emeryturami - oraz składki płacone obecnie, z emeryturami, które będą płacone za ówczesnego wieku. Kiektórzy twierdzą, że wypłata nie nastąpi z powodu bankructwa. Tak czy owak: obliczenie jest skomplikowane.

W kapitalizmie - jak pisał Jerzy Giller - ubezpieczenia są mechanicznie zarynkowującym byt ostrożnym, a pieniądze ryzykantów (firmy ubezpieczeniowe pożyczają im pieniądze - i oczywiście wychodzą na plus/ W socjalizmie ubezpieczenie też ma zapewnić byt - ale pieniądze trafiają do rąk marnotrawnego i ubezpieczeniowego aparatu biurokracji.

Aparat ten potrafi zwrócić 100 miliardów w naturze w ciągu paru dni - jednak w liczeniu pieniędzy nie pomyli się ani o złotówkę. Taka jest jego natura. Stąd zarzut "KOS"-a jest absurdalny. Panowie pieszczotki - do liście!



CORN





## Z BIBLIOTEKI KLASYKÓW



Nie jeden krytyk socjalizmu zaduma się nad poniższym tekstem. Wielu z nas, by dojść do wniosku, że socjalizm jako formacja społeczno-polityczna i model gospodarczy jest ideą poronioną, potrzebowało paru lat życia w "realnym socjalizmie". A tu okazuje się, że równo 100 lat temu byli tacy, którzy doszli do podobnych wniosków właściwie dzięki jedynie wysiłkowi intelektualnemu. Warto ich przypomnieć.

Drukarnia Jana Cotty  
Warszawa 1868.

### *Rzecz o socyalizmie*

Socyalisci zmieniają taktykę. Dotąd słyszeliśmy z ich ust, że maszyny są złe same przez się, że podział zajęcia, przykucie człowieka do narzędzia, że skupienie masy robotników w jednym ognisku wywołuje na fizycznej i moralnej naturze człowieka działania ujemne, upadające robotnika. Obecnie o niczem takim już niema mowy. Gdy przedziałnia, albo fryzjerka jaka, będzie zawiadywana przez państwo, zgubny wpływ maszyn nie wchodzi już w rachunek! Filantropia taka zdaje się nam podejrzana! /t.II s.73/

Jeżeli socjalizm mniema, że przez konfiskatę wielkich majątków i przez podzielenie ich między masę narodową w równych częściach dokonany radykalnego przewrotu, myli się całkowicie. /.../ W 1848 roku podczas rewolucyi socyalnej, która obłąkała umysły klasy robotniczej francuskiej, kilku robotników udało się do wielkiego bankiera Rotszylda, uważanego za największego bogacza, przedstawiając mu, że jest jego obowiązkiem podzielić się swym majątkiem ze wszystkimi obywatelami kraju. Po uprzejmym przyjęciu deputacyi, baron Rotszyld zapytał je, na jaką sumę obliczają jego majątek, a po otrzymaniu odpowiedzi, że szacują go na 100 milionów, pragnął propozycją podziału; z kredą w rękę wykazał, że 100 milionów podzielonych między 40 milionów Francuzów, da każdemu z nich 2 fr. 50 cent. Przystępując natychmiast do podziału, wypłacił 2,50 fr. każdemu z deputowanych robotników i pożegnał ich równie uprzejmie. Prawdziwa czy zmyślona powiastka ta wskazuje, że nawet największe fortuny, wrzucone do kotła społecznego, rozbiłyby się na takie atomy, iż żaden z uczestników niespodziewanej biesiady nawet nie spostrzegłby, że udział jego się powiększył. /t.II s.59/

Solidarność jako cel, swoboda jako środek: oto ostatnie słowo, oto ostatnie posady wszelkiego postępu społecznego. /t.II s.227/

Socjalizm nie przyczynia się do rozbudzenia żywiołów życiowych; przeciwnie, dla pokrzepienia jednych, stłumia drugie. Socjalizm nie jest narzędziem postępu społecznego, ale jego przeciwnikiem.

W tem jest ostatnie, najwyższe jego potępienie.

Tym razem wierzę sprzed pół wieku!



KONSTANTY ILDEFONS GAŁCZYŃSKI

# Nieporozumienia

Jedni mówią: - On jest nasz!  
Drudzy mówią - On jest nasz!!  
A ja jestem tylko twój, jedyna.

Jedni kuszą mnie na Wschód,  
Drudzy ciągną mnie na Zachód,  
a ja wolę, po wypłacie, z tobą iść do kina.

Jednych mi i drugich żal, .  
na film Leni Riefenstahl  
ileż milej, niż do czyśćca, lub do piekła.

Od lat ośmiu przytuleni,  
Dobrze nam na filmie Leni  
chałwą jemy i patrzymy w ekran...

Pion moralny? Nie uos nas,  
mój staruszk, co dzień las,  
sosny uosą nas pionu w firmament.

Na dziękczynność i na troski  
litania do Częstochowskiej  
złoci się... z książki... po namie.

A ty jesteś dla mnie: Rzym  
i Bizancjum, blask i dym,  
nurt Mozarta i kruczata pełna chwały.

a ty jesteś: ognie pstry,  
święta Wisła, lecz i Ren,  
pieśń germańska, Jater Goethe doskonały.

Z Teofilem zgadzam się:  
bez monarchii będzie źle,  
właśnie przez to zaczynamy wołać od nowa.

Jestem mimo wszelki świąt  
ein polnischer Monarchist,  
bo ty jesteś właśnie moja cesarzowa.

rok 1935 'PROSTO Z MOSTU'

# JEDZCIE KAWIOR

SMACZNY ! !    ZDROWY ! !    POŻYWNY ! !

Bądź patriotą !    Pomóż Ojczyźnie !

J E D Z    **KAWIOR**

CZARNY    -    CZERWONY    -    ZŁOCISTY

W dużym wyborze na bazarze Różyckiego  
w    W A R S Z A W I E

Myśl o ubogich !

J E D Z    **KAWIOR**

Gdy zjesz kanapkę z kawiozem -  
- nie zjesz kanapki z szynką;

Ktoś zje kanapkę z szynką i będzie Ci  
wdzięczny - nie zje za to kanapki z kiełbasą.

Ktoś zje kanapkę z kiełbasą i będzie Ci  
wdzięczny - nie zje za to kaszanki.

Więcej kaszanki zostanie dla ubogich !

Ulituj się nad nimi!

Daj zajęcie bezrobotnym rybakom i wytwórcom  
sieci.

J E D Z    **KAWIOR**